Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

ŁOWIEC POLSKI



Fotografja ze stanowiska. Fot. T. Starnawski.

ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 7 (855) 1 MARCA 1937 R.



Uczestnicy wspólnego obiadu łowieckiego, odbytego w dniu 24. I. 1937 w Białej Sali Bazaru z okazji 30-letniego jubileuszu Wielkopolskiego Związku Myśliwych. Siedzą w pierwszym rzędzie od lewej: Prezes Saturnin Mravincsics, Dr. Jan Łukowicz, Książe Loewenstein, Juljusz hr. Bielski, Konstanty Chłapowski, Generał Antoni Unrug, Ambasador Dr. Alfred Chłapowski, Szambelan Tomasz Komierowski.

JUBILEUSZOWA WYSTAWA ŁOWIECKA W POZNANIU. (1906—1936)

Zaledwie ochłonęliśmy z wrażeń po wspaniałej jesiennej wystawie myśliwskiej we Lwowie, gdy oto doleciał naszych uszu hejnał baszkowskiej straży łowieckiej, zwołujący myśliwych z całej Polski do Poznania, gdzie z okazji 30-lecia Wielkopolskiego Związku Myśliwych urządzono okazałą i bogatą wystawę łowiecką, będącą niemal wyłącznym pokazem dorobku wielkopolskich myśliwych na polu racjonalnej gospodarki łowieckiej.

Otwarcie tej wystawy poprzedziła Msza święta oraz gorąca hubertowska uroczystość, która królewską Białą Salę historycznego Bazaru przemieniła w szumiącą i pełną śpiewu knieję, rozbrzmiewającą hejnałami rogów i polowaniem na niedźwiedzia...

A dumki biegły daleko... zamarzył się dawny ostęp... najmilsze życia obrazy... trofea...

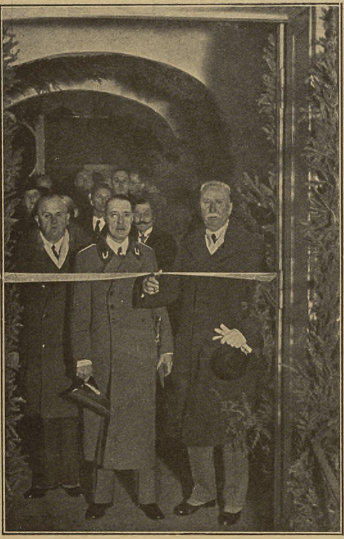
Oglądamy je na wystawie, a każdy eksponat godny jest podziwu, są to bowiem szanowni weterani, zahartowani w ogniu niejednej komisji sędziowskiej. Wystawiono przede wszystkim okazy naprawdę poważne, obwieszone medalami z polskich i zagranicznych wystaw. Z radością spoczywało na nich oko. Wyśmienity dobór na ścianie, a za ścianą... w osobnym pokoju, zamkniętym na siedem spustów, leżały stosy wysortowanych eksponatów, owoc sumiennej pracy Komitetu organizacyjnego.

Całokształt wystawy zamknięto w specjalnym katalogu, gdzie bez przesady pisze Jan Heinze: „Wystawa łowiecka to przegląd zdobytych trofeów, to wspomnienie niejednej miłej, a czasem i tragicznej chwili, przeżytej przez myśliwego, to wykaz krajowej zwierzyny łownej i trudu, poniesionego przez hodowcę nad utrzymaniem zwierzostanu. Jubileuszowa wystawa, to świadectwo 30-letniej pracy Wielkopolskiego Związku Myśliwych i jego członków w dziedzinie łowiectwa". Katalog ten otrzymał każdy bezpłatnie, kto uiścił 1 zł za wstęp na wystawę.

Dziesięć tarcz złotych, srebrne i bronzowe, około 30 medali złotych, 80 srebrnych i 180 bronzowych, oto wynik rzetelnej pracy sędziów, a w pierwszej linii Olgierda ks. Czartoryskiego i inż. Leona Martyńca.

Wśród eksponatów przeważały — oczywiście — parostki i wieńce, gdyż w tej dzielnicy hodowla sarn i jeleni zajmuje dominujące stanowisko. Do bogatych i pięknych należały stoiska: Wł. Błąka, który oprócz tarczy bronzowej za stoisko, otrzymał tarczę złotą za rekord wieńca jelenia, K. Chłapowskiego, M. Czarneckiego, O. ks. Czartoryskiego, L. Martyńca,

Ig. hr. Mielżyńskiego, Ordynacji Obrzyckiej, Z. hr. Skórzewskiego, Uniwersytetu Poznańskiego (katedra prof. E. Schechtla) i P. Wybranowskiego. Złotą tarczę za rekord parostków zdobył K. Raszewski.



Otwarcie wystawy jubileuszowej Wielkopolskiego Związku Myśliwych. Od lewej pp.: Prezes K. Chłapowski, Ks. Loewenstein, delegat Wielkiego Łowczego Rzeszy Niemieckiej i Juljusz hr. Bielski, przecinający wstęgę. Fot. Alejnik, Poznań.

Specjalnie pragnę powrócić jeszcze do najpiękniejszego stoiska O. ks. Czartoryskiego, który, oprócz tarczy srebrnej za stoisko, otrzymał złotą tarczę za rekord łopat daniela. Interesowała tutaj zwiedzających statystyka ubitej w dobrach książęcych zwierzyny w latach 1909 — 1936, a mianowicie 34.540 zajęcy, 2,602 króliki, 9,902 koguty-bażanty, 111 kaczek, 5 jeleni, 5 danieli, 8 dzików, 483 rogacze, 35 lisów, 52 słonki, 9 cietrzewi, 14,138 kuropatw, 257 różnych, razem 62,147 sztuk. Zaznaczyć przy tym należy, że w dobrach ks. Czartoryskiego poluje się na zające na tych samych terenach co drugi rok, a na kuropatwy corocznie, wyłącznie w pędzeniach. Drapieżników ubito w tym samym majątku w okresie ostatnich 11 lat następujące ilości: 1 wydrę, 279 lisów, 41 kun, 129 tchórzy, 420 łasic, 19 borsuków, 812 psów, 1,128 kotów, 223 gołębiarze, 275 krogulców, 186 myszołowów, 3,527 wron, 55 srok, 145 sójek, 192 czaple i bąki, 842 rybitwy, łyski i nury, razem 8,274 sztuki. Interesujące też były fotografie, przedstawiające zewnętrzny wygląd oraz wspaniałe wnętrze domku myśliwskiego ks. Czartoryskich, zwanego Helenopolem.

Wielkie zainteresowanie budziła sala Uniwersytetu Poznańskiego, mająca charakter wybitnie naukowy, gdzie — wśród wielu innych — widzieliśmy, jakby żywcem z terenu przeniesioną, wielkich rozmiarów pułapkę na bobry, t. zw. pastkę, zabraną w dobrach Rzepichów, a ustawioną przez kłusowników koło „chaty" bobra. Naturalne gniazdo głuszca z dwoma jajami, oraz gniazdo gołębiarza, przeniesione z lasu na konarach drzew, dały możność zwiedzającym zetknięcia się z rzeczywistością. Wystawiona racica łosia, tuba z kory do wabienia łosi, oraz fotografia Karola ks. Radziwiła przy upolowanym łosiu, ożywiła wspomnienia wspólnego mojego pobytu z profesorem dr Schechtlem na łosiach w gościnie Ordynacji Dawidgródeckiej.

Zatrzymuję się przy stoisku Włodzimierza Błąka (jun.), urządzonym z wielkim smakiem i oglądam 9 fotografii inż. Stelińskiego z Warszawy, ilustrujących historię jednego zająca, od snu jego w kopnie, poprzez przebudzenie się jego i wszelkie trwożliwe etapy, aż od zrulowania w ogniu dwururki na drodze leśnej, po której hasał szczęśliwie, aż się skończył czas ochronny, a z nim żywot jego. Do niezmiernie cennych, a wybitnie oryginalnych eksponatów, zaliczyć należy tu róg myśliwski, zakupiony przez Błąka w pewnym składzie broni w Warszawie, dokąd przywiózł go na sprzedaż osobnik nieznanego nazwiska. Róg ten oprawny jest w srebrne skówki, pokryty artystycznie rzeźbioną łuską rybią, świetnie utrzymany, ma poza dwoma inicjałami W. S. i P. K. taki napis: „Roku 1818, Januar 3 dnia. Pracy Wincen. Szwoynickiego. Przyjm Koryzno Prezydencie ten mój mały dar w prezencie".

Święty Hubert, patron myśliwych, doczekał się wyjątkowo na tej wystawie godnej reprezentacji: Państwowa Szkoła Zdobnicza w Poznaniu wystawiła oryginalny kartonowy projekt witrażu św. Huberta, a młody i utalentowany grafik, nauczyciel szkoły powszechnej, Stanisław Zgaiński (Szamotuły, Rynek 14), dostarczył dwa drzeworyty św. Huberta oraz trzy ekslibrisy myśliwskie, drzeworyty, nadzwyczaj misternie wykonane, o pomysłowej kompozycji, wszystkie z jeleniem św. Huberta. Pierwszy z tych ekslibrisów to Leona Waliokiego, drugi próbny Adama Narajewskiego, trzeci zaś ekslibris jest dotąd bez właściciela. Pragnąc dopomóc pracowitemu artyście, w którego kieszeni brzęczący dowód spokojnego życia chyba nie był gościem, apeluję do posiadaczy bibliotek myśliwskich, bądź osób prywatnych, czy przyjaciół kółek łowieckich, aby w sprawie ekslibrisów dla własnych bibliotek raczyli się zwrócić do p. Zgaińskiego. Czeka ich kolosalny wydatek... mianowicie: oryginał rysunku i 200 odbitek w cenie od 30 do 50 zł.... A ekslibrisy myśliwskie, to motywy łowieckie w grafice i malarstwie. Rozwijajmy więc tę gałąź sztuki! Pomagajmy młodym artystom!



Stoisko O. ks. Czartoryskiego na jubileuszowej wystawie W. Z. M. Fot. Alejnik, Poznań.

Oryginalną w koncepcji, jak i w historii swego powstania, jest duża szpilka św. Huberta do kapelusza myśliwskiego, wykonana w kości przez niewidomego

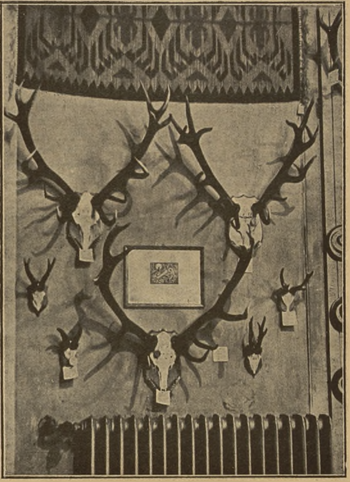
inwalidę w Wiedniu, według projektu księżnej Czartoryskiej. Wreszcie wspomnieć należy o gorącym czcicielu św. Huberta, jakim jest dr. J. Łukowicz, który wystawił trzy fotografie: kielicha, pomnika i płaskorzeźby św. Huberta.

A teraz o ciągle aktualnym temacie, t. j. o książce myśliwskiej, zdań kilka. Dobrze się dzieje, że od pewnego czasu na wystawach łowieckich spotykamy stoiska wydawnictw łowieckich. Ma to wielkie znaczenie propagandowe. Na wystawie poznańskiej zaryzykowała swój koszt, trud i czas księgarnia Gebethnera, urządzając wcale bogate stoisko książek oraz barwnych drzeworytów z Puszczy Białowieskiej Władysława Bieleckiego, przedstawiających jelenia, żubra, dęby, dziki i inne.

Ogólny targ podczas 18 dni wystawy wyniósł, według udzielonej mi relacji przez kierownika firmy Gebethnera, około 50 zł... To już jest popyt i kapitał... można płacić słone honoraria autorskie i bez skrupułów łożyć na wydawnictwa fachowe... Dosłownie: kaprawy los polskiej książki! A jednak zainteresowanie są książką było niemal powszechne. Przychodzili ludziska do stoiska, brali książki do ręki, pytali o cenę, obracali je w ręku, jak to mówią, tam i z powrotem, odkładali... i odchodzili... Za drogo... Tak jest w istocie. W tym leży główna przyczyna stagnacji w księgarskim ruchu łowieckiej książki. Zeszliśmy przeważnie wszyscy na dziady... Gdy się ma w portfelu dwa tysiące złotych, to nie można budować piętrowej willi, choćby się mieszkało gdzieś tam pod Sarnami... trzeba się zadowolić drewnianą chałupiną o dwóch izbach. Nic na to nie pomożesz, „mój bracie w krawacie". Mając jeden złoty w garści, popatrzyć tylko można na książkę, która kosztuje 3 zł i więcej. Zupełnie jak ten zgłodzony, który patrzy na zwoje kiełbasy za szybą wystawową. Stwierdzić tu jednak należy jeden fakt, a mianowicie ten, że w Polsce książka myśliwska budzi przecież znacznie większe zainteresowanie, aniżeli na przykład u fotografa-amatora — książka fotograficzna. Słaba to jednak pociecha.

Mówiąc o książkach, nadmienię, że Wielkopolski Związek Myśliwych, (Poznań, ul. Młyńska 9), wydał album z wystawy w pięknej złoconej oprawie, z napisem, zawierający 40 fotografii; cena 20 zł.

Prasa krajowa szeroko, pochlebnie i z uznaniem rozpisała się o jubileuszu W. Z. M. i o jego wystawie. Nie obeszło się jednak bez pomyłek, które bywają zawsze wtedy, gdy się pisze o wystawie, nie zwiedziwszy jej przedtem, a nawet nie mając katalogu w ręku. Wspomnę tu o „Kurierze Wileńskim" z 5 II 1937 r., który przeszedł zupełnie do porządku nad moją kolekcją około 400 żetonów, odznak i medali łowieckich, za które otrzymałem obecnie w Poznaniu najwyższą nagrodę, t. j. złotą tarczę. „Kurier" napisał dosłownie: „Na wystawie tej, oprócz około 1000 eksponatów ze wszystkich dziedzin łowiectwa, zostało wystawionych 394 odznak i medali, zdobytych przez Związek w okresie swego istnienia".



Stoisko Ordynata Taczanowskiego na jubileuszowej wystawie W. Z. M. w Poznaniu.

Trzykrotnie przyjeżdżałem na tę wystawę. Byłem przy jej narodzinach i śmierci. Niech mi wolno będzie stwierdzić, że mobilizacja okazów tej wystawy, jakoteż ich demobilizacja, odbywały się według istotnie przemyślanego planu, skrupulatnie, z ołówkiem i papierem w ręku. Wystawa ta była istotnym uświetnieniem uroczystości jubileuszowych oraz wymownym wykładnikiem pracy hodowlano-łowieckiej, doskonałych gospodarzy, jakimi byli zawsze, aż po dzień dzisiejszy, wielkopolscy myśliwi.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

ZAJĘCZY SEJM.

W dwie niedziele po adwencie
zjechały się kołów posły,
by wziąć udział w parlamencie,
akt rozpatrzyć stos narosły.

Więc się najpierw de privatis
kłócono nader gorąco,
a gdy wigor zmalał w braci,
zgłoszono sprawę naglącą.

Jeden z posłów na pień wskoczył,
trzykroć skokiem w drzewo kuje
i, gdy spokój wkoło zoczył,
taką kwestję referuje:

„Ponoć ludzie wciąż się swarzą
co jest lepsze: kocioł — ława,
niechaj Izby więc rozważą,
jaka zapaść ma ustawa.

Człowiek nas zapewnia stale,
że o dobro nasze chodzi,
toteż skreślmy w memorjale
pogląd nasz, by mu dogodzić".

Skończył — rozejrzał się dumnie,
koty zakrzyknęły „brawo"
i wychwalać jęły tłumnie
dobroczynne ludzkie prawo:

„Ot, naprzykład dziś niedziela
nikt polować się nie waży",
„nikt po nocach nas nie strzela" —
„po kotlinach można marzyć".

Gdy tak każdy człeka chwali,
padł strzał. Dwa koty zostały,
reszta zniknęła w oddali,
nie kusząc dłużej uchwały.

JÓZEF JASTRZĘBIEC SZCZEPKOWSKI

BEZKRWAWE ŁOWY NA ZWIERZA.

Mają myśliwi, jak wiadomo, swój niepisany „kodeks honorowy" w stosunku do zwierzyny, na którą polują. Prawdziwe myślistwo to jest coś, jak „sztuka dla sztuki", czysta przyjemność, mająca swe źródło w odwiecznym instynkcie, bez chęci zysku materjalnego. Niejeden więc z myśliwych na widok powyższego tytułu gotów przypuszczać, że będzie mowa o jakichś niecnych i podstępnych sposobach brania zwierza żywcem. — Ależ nic podobnego... — Istnieje jednak jeden sposób polowania, w którym spudłować niesłychanie łatwo, w którym podejście do zwierzyny wymaga szatańskiej przebiegłości i anielskiej cierpliwości, lecz bez względu na to, czy się spudłuje, czy nie, zwierzę zostaje na wolności. Zaś myśliwy unosi z sobą mniej lub więcej udany jego obraz.



Kuropatwy. Fot. K. hr. Plater.

Mam na myśli fotograficzne łowy na zwierza bez dubeltówki, bez drylinga, zato z głęboką znajomością przyrody, zwierząt i ich trybu życia. Ten i ów myśliwy skrzywi się może w tem miejscu, powie: stop! — i przestanie czytać ciąg dalszy. Ale wobec tego, że kraj nasz obfituje w bogate tereny myśliwskie, pozwolę sobie zadać jedno pytanie: ile w Polsce wykonuje się rocznie artystycznych (naprawdę artystycznych!) zdjęć, mających za temat łowiectwo? A może raczej wypadałoby zapytać, ile się ich wykonuje w ciągu dziesięciu lat? — Proszę mi wskazać takie polskie dzieło z zakresu myślistwa, w którem byłyby, jako ilustracje, dobre polskie zdjęcia z tego zakresu, wykonane z poczuciem estetycznem rasowego myśliwego, a jednocześnie ze znajomością techniki fotograficznej i elementarnych praw kompozycji plastycznej! Pierwszorzędne nieraz teksty są nędznie ilustrowane tylko dlatego, że ten dział fotografji, pojętej na sposób artystyczny, u nas prawie nie istnieje. Przyczyn upatrywać trzeba w tem, że polski artyzm fotograficzny obrał sobie za siedzibę większe miasta, które siłą faktu ogniskują w sobie ruch fotoamatorski, z drugiej zaś strony kulturalne sfery, uprawiające myślistwo i zamieszkujące przez znaczną część roku w pobliżu odpowiednich terenów, zdają się do tego zagadnienia nie przykładać większej wagi.

To prawda, że zadanie, o którem mowa, nie może być pracę na krótką metę i należy może do najtrudniejszych w tej dziedzinie. Ale jeżeli artyzm fotograficzny wychodzi już dziś z najrozmaitszych sfer i zawodów społeczeństwa, to dlaczego nie miałby się pewnego dnia objawić w grupie ludzi, miłujących myślistwo, czy to jako rzecz, związaną z pewnym zawodem, czy też kochających się w tem poprostu, nie mogących żyć bez lasu i kniei, a mających możność częstego przebywania na łowieckich terenach? — Bo bez stałego kontaktu z temi terenami niema dobrej fotografji myśliwskiej, fotografja bowiem, oprócz opanowania technicznego, wymaga niebywałego wczucia się w temat i wżycia się w cały kompleks zagadnień, który ma ilustrować. Tu nie wystarczy pojechać na wieś na niedzielę. Groteskowy typ myśliwego, który po powrocie z niedzielnego polowania pierwsze kroki kieruje do sklepu Pakulskich, aby kupić zająca i tę „zdobycz" przynieść do domu, jest nie do powtórzenia w fotografji. Tu trzeba pokazać obraz, pełen życia prawdziwego, bo każdy myśliwy natychmiast dostrzeże wszelką sztuczność i nienaturalność w ujęciu tematu. Myślistwo — to jest sport i życie, a więc zaprzeczenie pozowania. To kipiąca namiętność i ryzyko życia — a któż normalny wtedy pozuje? Dlatego to wszystko z myślistwa, co się przeważnie widuje w naszej prasie perjodycznej, te liczne grupy pań i panów, wpatrzonych w aparat, w otoczeniu ubitych zwierząt, to może jest miła pamiątka dla uczestników polowania, ale to nie jest fotografja myśliwska.

Fotografję myśliwską podzieliłbym na dwie odrębne, choć wzajemnie uzupełniające się grupy, które ten temat wyczerpują bez reszty. Granice tych grup określa się w sposób podejścia fotografa do tematu od strony myśliwego, albo zwierzyny. W pierwszym wypadku niewyczerpane bogactwo tematowe stanowi typ myśliwego, jego życie i obyczaj w kniei, walka z żywiołem, ryzyko życia, życie obozowe i przy ognisku — oczywiście wszystko z podkreśleniem, o ile możności, charakterystycznych cech krajobrazu i jego piękna. Krajobraz — to przecież estetyczne ramy myślistwa, będące naturalnem dopowiedzeniem całosci — to przyrodzona arena, na której się rzecz odbywa. Zaś dobitne podkreślenie cech krajobrazu stanowi poniekąd bliższe określenie zwierzyny, na którą się poluje. Do tego gatunku fotografji myśliwskiej należeć będą również przeróżne sposoby podchodzenia myśliwego do zwierzyny, celem zmylenia jej czujności, naganka w akcji, psy w akcji, a dopiero na końcu zdjęcia myśliwskich trofeów.

Wbrew utartej taktyce, zdjęcie myśliwego, jedną nogą wspartego na martwej zdobyczy i wpatrzonego z zapartym tchem w aparat fotografa, niekoniecznie musi być „myśliwskie". Przecież o tem stanowią nie rekwizyty, lecz te charakterystyczne cechy akcji, które w innych gałęziach sportu są nieznane. Myśliwy, jako temat artystycznej fotografji, musi zapomnieć o tem, że jest tematem fotografji, powinien natomiast wiedzieć o tem, że jego postać ma być na obrazie organicznie zrośnięta z akcją i krajobrazem. Ale i fotograf musi wiedzieć, że człowiek w akcji to nie jest maszyna do pozowania, że natomiast pozuje mu do zdjęć samo życie „in flagranti", że więc jego jest rzeczą tak się kręcić koło tematu, aby wyszukać odpowiednie tło i oświetlenie. Problem tła jest tu najtrudniejszy do rozwiązania, albowiem naturalne tło w takiej akcji, jak myślistwo, jest z reguły improwizowane. Są to poprostu najbardziej nieoczekiwane, plastyczne niespodzianki, w pośród których nieczęsto zajdzie szczęśliwy przypadek wyodrębnienia myśliwego, psa, naganki z chaosu otoczenia. A takie wyodrębnienie musi nastąpić, jeżeli fotografja ma być wartościowa. Rozwiązanie tła w stosunku do tematu głównego stanowi — podobnie, jak i w innych działach fotografji sportowej — zagadnienie podstawowe, bez którego ruszyć dalej nie można.

Tę samą trudność, tylko jeszcze bardziej spotęgowaną, spotkamy w wyższym gatunku fotografji my-

śliwskiej — w fotografowaniu zwierząt na wolności. Nazywam to „fotografją myśliwską", ponieważ trzeba posiadać istotne najwyższe zalety myśliwego, złączone nierozdzielnie ze zmysłem estetycznym, aby sprostać temu wyjątkowo trudnemu zadaniu. Tu bowiem zmieniamy zasadniczo nastawienie względem tematu myślistwa, do którego rozwiązania podchodzimy od strony zwierzęcia.

Jeśli się nie mylę, to ojczyzną fotografowania zwierząt na wolności, a może i krajem, gdzie ta idea po raz pierwszy zrodziła się, jest Anglja. Faktem jest, że Anglicy już dość wcześnie objawiali pasję w kierunku tego rodzaju bezkrwawego myślistwa, coby zresztą nie było zbyt dziwnem z uwagi na jednoczesne ich głębokie zamiłowanie do myślistwa i do fotografji. Pozatem znana angielska miłość do zwierząt miała tu zapewne swoje ważne słowo. Fotografja angielska dzisiejsza, jeśli jest tematowo zbanalniała i w ujęciach zasadniczych konserwatywna, to niemniej technicznie stoi niezmiernie wysoko, zaś w tradycji każdy naród może jej pozazdrościć pierwszego artysty-fotografa świata, Dawida Oktawiusza Hilla (1802 — 1870), którego największe nasilenie twórczości (bajeczne portrety w słońcu!) przypada na połowę XIX-go wieku.

Jakby nie było, to fotografowanie zwierząt na wolności, przeżywa w naszych czasach, dzięki kinematografji, niezwykły renesans. I tutaj również dało kino świeże zastrzyki pomysłowości w fotograficznem tropieniu zwierzyny i podchodzeniu do niej. Do fotografowania z większych odległości zastosowano specjalne teleobjektywy i napęd elektryczny do kamery — pozatem wszystkie stare sztuki i sztuczki myśliwych, znających swój zawód i teren. Oto, co pisze o tem Werner Bohne, fotograf głośnego w swoim czasie egzotycznego filmu niemieckiego p. t. „Pori"[1]:

„Mimo wielkiego mnóstwa dzikich zwierząt, byłby fotografujący mieszczuch bezsilny bez pomocy bardzo dobrego myśliwego, który przyzwyczajenia zwierząt zna aż do najdrobniejszych szczegółów. Przy naszych zdjęciach zwierząt zawdzięczaliśmy wielką część sukcesu naszemu wybitnemu przewodnikowi myśliwskiemu, Willi de Beer, który, jak Winnetou i Old Shatterhand, umiał odczytywać wszystkie ślady i znaki w puszczy i który cały nasz teren polowania nad jeziorem Mandjara, w obrębie pięciu dni podróży dookoła, znał lepiej, niż ja moją własną kieszeń."

Opisuje Bohne dalej, jak zastosowano stary kawał Południowych Afrykan i dla bliższego podejścia z kamerą do zwierzyny przedzierzgano się w postacie strusi. A że to polowanie nie zawsze było bezpieczne, świadczy taki fragment opisu: „Pewnego razu nie spodobał się mój nos lwicy, którą właśnie miałem przed kamerą. Niespodziewanie śmignęła wysokim łukiem naprzód i padła dokładnie o dwa metry przed aparatem od celnej kuli naszego farmera, pana Nordhansa."

Widziałem film „Pori", więc nie wątpię, że w słowach tych niema nic z myśliwskiej przesady. Ale o wiele, wiele ciekawszy jest inny opis — polski.

[1]) Werner Bohne — Berlin: „Kamera-Arbeit im „Pori". — „Photofreund-Jahrbuch" 1929/30 str. 113 — 123.

„Mijały godziny... Już ścierpły ręce, ramiona i nogi od wielce niewygodniej pozycji. Wtem krew buchnęła mi do czuba, model nadlatuje, siada, kiwa się wtył i wprzód, kwili raz i drugi..., gotując się do słodkich wywczasów... Wreszcie udaje mi się pochwycić moment profilowy, z całych sił oburącz naciskam na zbiornik... Tryumf zagłusza we mnie szalony ból w zesztywniałych kończynach i piersi, zbieram przewód, aparat i pędem biegnę do domu ze zdobyczą w kasecie... Wspaniale występuje w wywoływaczu obraz: nurty prutowe, belki kaszycy, wystający kołek dębowy, a tuż obok pięknie znaczony w upierzeniu ptak białobrzuszny... ale gdzie głowa?... Przewód z elastycznego kauczuku, długości 40 metrów, to kanalik długi i rozciągliwy. W chwili, gdy pociskałem zbiornik, główka odwrócona była ku objektywowi profilem, zanim jednak prąd powietrza ściśniętego dotarł do mechanizmu migawki, ptak zwrócił się tyłem głowy... Odtąd przestałem posługiwać się tym prymitywem i zaprzągłem do pracy elektryczność."



Puhacz. Fot. K. hr. Plater.

Tak opisywał jedno ze swoich dawnych przedwojennych wspomnień, zmarły przed kilku laty Dr. Henryk Mikolasch[2]) ze Lwowa, jedna z najwybitniejszych postaci polskiej fotografji i polski pionier fotografowania zwierząt na wolności. Ale pomimo, że ten rodzaj fotografji święci dziś nowe tryumfy, pomimo, że gwałtowne postępy techniczne fotografji wiele ułatwiają, że w publikacjach zagranicznych pojawiają się nieraz fascynujące przykłady artyzmu z tego zakresu tematów, u nas jakoś cicho...

Dlatego sądzę, że godne najżywszego poparcia konkursy „Łowca Polskiego" powinny w przyszłości znaleźć głębsze echo wśród ziemiaństwa, a może i wśród pięknych pań, które, zajadając ze smakiem pasztet z dziczyzny, lubią niekiedy ronić łezki nad ubitym zajączkiem. Gdyby tak to dobre serce skierować czasem na bezkrwawe łowy kamerą, kto wie, czy nie wyniknęłaby z tego rzecz piękna, na którą każdy myśliwy popatrzyłby z zazdrością. — Warto spróbować!

DR. ANTONI WIECZOREK

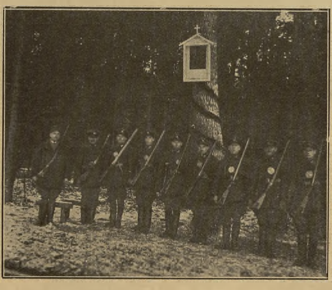
[2]) Dr. Henryk Mikolasch: „Łowy fotograficzne na brodźca". — „Fotograf Polski" (Warszawa) Nr. 9 i 10/1930.

REFLEKSJE NA TEMAT ETYKI MYŚLIWSKIEJ.

Artykuł znanego pisarza myśliwskiego, Władysława Gürtlera, p. t. „Młodym ku przestrodze", zamieszczony w „Łowcu Polskim" Nr. 1 z 1936 r., nasunął mi kilka refleksyj i uwag, z któremi chciałbym się podzielić z czytelnikami. Są to fragmenty własnych wspomnień myśliwskich, a możnaby je ująć w nagłówek: — „Starszym ku przestrodze".

Działo się to dawnemi laty, w jednem z większych miast środkowej Małopolski. W mieście tem istniało towarzystwo myśliwych, którego prezes, prokurator sądu okręgowego, znany podówczas nemrod i myśliwy, dzierżawił własne tereny łowieckie w kilku gminach, między innemi w gminie T., leżącej w oddaleniu kilkunastu kilometrów od wspomnianego miasta. Na terenie tejże gminy znajdowały się duże wyeksploatowane torfowiska, tworzące cały szereg stawków, porosłych trzciną i tatarakiem. Stawki obfitowały w karpie, liny i szczupaki, a lustra ich były terenem harców rodzin kaczych, zaś na kępkach przybrzeżnych błot z lubością paplały się kszyki.

Prezes towarzystwa myśliwych pozwalał wyłącznie członkom tego towarzystwa polować na wspomnianych stawkach tylko na ptactwo wodne i błotne. Ja zaś, należąc do tego towarzystwa i będąc nietylko myśliwym, ale przedewszystkiem zapalonym rybakiem, przyjeżdżałem tam częściej z wędką, niż ze strzelbą.



Odprawa gajowych w rewirze Hucisko. Fot. St. Politalski.

Było to w skwarne popołudnie sierpniowe w dzień Wniebowzięcia N. M. P. Korzystając z pięknej pogody, udałem się, jak zwykle, nad stawy i, usadowiwszy się w trzcinie, dziubałem wędką, wypatrując pilnie rozbójnika — szczupaka, który ponoć dochodził do wagi 6 kg. Czas wyczekiwania skracałem sobie obserwowaniem przyległych do stawka pastwisk, gdzie starsi chłopi, korzystając ze święta, odpoczywali, pasąc bydło.

Wtem na polach, graniczących z pastwiskiem, ukazał się nauczyciel, podówczas też członek tego towarzystwa, wraz z majorem K., a mając psa, zaczęli przechodzić pilnie zagony kartofli. Wreszcie burknęło stadko kuropatw, padły strzały i za chwilę nauczyciel nasz zawiesił na trokach parę kuropatw. Hm... myślę sobie, to ty bratku kropisz kury na cudzym terenie, w ochronnym jeszcze czasie, zaprosiwszy gościa w dodatku!... Ale czekam w trzcinie, co to dalej będzie. Obaj „myśliwi" nadchodzą ku stawkowi na jakieś sto kroków odemnie. I słyszę następujący monolog nauczyciela:

— Patrz! Kinguś stoi — napewno będą kszyki. Zawsze poznaję po jego stojce, jaka będzie zwierzyna: zając, kuropatwy, czy kszyki. A teraz zobaczysz mistrzowski strzał... Kinguś pyf! — i... odgłos wystrzału zlał się z przeraźliwym rykiem tuż za mojemi plecami.

Widzę biednego kszyka, z przestrachu wykonującego już hen w górze rozmaite ewolucje, a z miejsca, skąd przed chwilą dochodził ryk, rozlega się podniesiony głos:

— To ty, ciarachu jeden, w takie wielgie święto krowie wszystkie cycki przestrzeliłeś? Dawaj strzelbę! Do wójta!

— Ależ gospodarzu, ja pewnie twoje dzieci uczę, daiże spokój — tłomaczy się, jak może, nauczyciel.

Ze śmiechu trzymałem się za brzuch i, bojąc się wpaść do wody, musiałem opuścić moje tymczasowe schronienie.

Właściciel krowy o zestrzelanem wymieniu otrzymał za mojem pośrednictwem, doraźne wynagrodzenie w brzęczącej monecie, a my wszyscy trzej, na prośbę nauczyciela, postanowiliśmy fakt ten wobec potomnych przemilczeć.

Rzeczywiście prawie już całkiem zapomniałem o tym tragi-komicznym epizodzie, gdy w parę tygodni później, idąc przez ulice miasta, natknąłem się na prezesa klubu i druha, idącego z moim przyjacielem Franiem, którzy wprost zarykiwali się ze śmiechu.

— Cóż takiego się stało? — pytam.

Na to pokazują mi dwa jednakowo brzmiące, wierzytelne odpisy, z których wynika, że „Komandorja Orderu Zdechłej Krowy", na posiedzeniu tajnem, postanowiła odznaczyć p. X.Y. „orderem Zdechłej Krowy", ponieważ dnia 15 sierpnia przy stawkach, w gminie T., dobrze zasłużył się sprawie. Oryginał wraz z odznaka, przesyła się p. X.Y., dwa wierzytelne odpisy prezesowi klubu i doktorowi F. Następowały wierzytelne podpisy. Prezes, zdaje się, Doicycek, sekretarz Wyleczwymię i t. d. Gaudium było powszechne — wszyscy znajomi gratulowali p. X. Y. tak wysokiego odznaczenia, a „etyka" łowiecka grzeszącego nieprawością nauczyciela została ukaraną.

Podobnie, jeśli mówi się o etyce łowieckiej w stosunku do zwierzyny, należy zwrócić uwagę również na etykę względem współtowarzyszy. Polowaliśmy swego czasu w cztery strzelby na kuropatwy, a między nami był również p. X.Y. Wszyscy strzelali nieźle i podniesiono około 30 sztuk kur, a przy zakończeniu polowania p. X.Y. policzył sobie 24 sztuki na rozkładzie, twierdząc, że każdą trafił w oko.

Polowanie na bażanty pędzone. Ciągnie kogut, strzelam, kogut się załamuje i opada na ziemię. Mój sąsiad p. X.Y. wali z dwóch luf do trupa i pomimo moich protestów i moich sąsiadów, p. X.Y. bezapelacyjnie zawiesza koguta na swoich trokach.

Polowanie na lisy. Sąsiad p. X. Y. strzela do lisa w drągowinie, a drugim strzałem rozciąga go na linji. Do leżącego wali p. X. Y., „bo to, panie dzieju, lisowi nigdy wierzyć nie można" — liczy go sobie do rozkładu, bo przecież zasada: „erste Kugel, letzter Schrott" — w dodatku lis w agonji podniósł dwa razy kitę do góry, a p. X. Y. przecież zawsze głosi, że po każdym jego strzale do lisa, zwierz tylko kitę do góry podniesie i już trup, ergo dowód, że lisa zabił nie sąsiad, lecz właśnie p. X. Y.

Dlatego, jako prawidłowy myśliwy, chcę na tej drodze podziękować p. Władysławowi Gürtlerowi, że tak na łamach prasy łowieckiej, jak i w życiu, szerzy szlachetne przykazania etyki łowieckiej.

INSP. M. W.



Paweł hr. Potocki z trzema odyńcami, ubitemi na jednem stanowisku w ostępie „Czereniszcze", w Ordynacji Dawidgródeckiej.

„DZIKUN".

(HISTORJA JEDNEGO PSA).

Spotkał się kiedyś piękny pies ze dworu z łaciatą suczką ze wsi, tęgą Lipą.

Zaczęły więc uganiać po łąkach, popstrzonych kwiatami, tuż nad pogiętym ruczajem Mokrym, w pobliżu wioski Żusiny i — poszczekiwać to w złości, to — jakby się przekomarzając. Lipa była zaprawna w podobnych sytuacjach, więc zdarła jurnemu psu szmat filcowego ucha. On ją delikatnie upomniał zębem za koniec giętkiego ogona.

A kiedy już wydreptane zostały połacie łąk i murawy nad brzegami ruczaju i niedużego jeziora — pognały szalejące psy przez łuk żółtawej drogi, na skraj lasu, co sinym zębem dygotał z uciechą na jasnem niebie. A potem przez kwietnik dworski wpadły pod stary młyn, chrząkający rubasznie w olszynie...

— Sokół wróć! Sokół wróć!... — doleciało wyraźnie wołanie ze dworu. Psy, jakby jednomyślnie, rzuciły na siebie okiem. Sokół przyśpieszył biegu, zrównał się z suczką i szczeknął jej nad uchem:

— Nie wrócę, nie!...

Lipa odszczęknęła mu w odpowiedzi: — Pewno.

Zakręciły więc psy kilka niesamowitych zygzaków przed samym mostkiem, przegalopowały przez kwadrat pola, ogrodzony dla cieląt, i zdyszane wpadły w świerkowy zagajnik.

Kilka gałęzi zakołysało się nisko, przy ziemi, nad górką mszystej kępy, błyszczącej od borówkowych liści...

*

Pulchne szczenięta, przytulone do siebie na słomie, leżały w obręczu ciepła matki — suczki. Jasne mizeractwa, bez spojrzenia na świat i — zdawało się — bez myśli, bierne, ale żywe, pulsujące ukrytą mocą, która miała stać się z czasem przyczyną rozrostu, dojrzewania i zdobycia mądrości życiowej.

Lipa gładziła je różą języka — ciepło, serdecznie. Podstawiała niemym i nierozumnym zasobne w pokarm sutki zwierzęcej piersi. Czuła ciepło, które szło od małych stworzonek, a które przed chwilą dała im sama.

Przez otwór budy patrzyły się w psią matkę okrągłą twarzą: jasność czystego błękitu, wiejski rosochaty parkan, zwany tynem, i brud podwórza przed obejściem dzikiego kłusownika Januka z Żusin.

Lipa czuła w głębi swojej piersi dziwną radość, podobną do tej, z jaką zazwyczaj kiedyś, w czasach słodkiej młodości, lubiła uganiać po wonnych zoranych ugorach i po kwietniku łąki, podczas gdy promienie słoneczne kładły się szeroko, precz, po sfalowanej ziemi...

Lipa była psem czułym — dlatego mogła wiele rzeczy psim rozumem ogarnąć i psiem sercem odczytać.

Dotykając nosem małych ciałek swych szczeniąt, rozumiała bardzo dobrze, że one są jej własne, bo z niej wyszły, i ona, nie kto inny, ma o nie dbać. Uczuła w sobie wyraźny przypływ siły; niechby się kto ośmielił tknąć tłuściochy...

Akurat dobiegło jej czułego ucha chrząknięcie człowieka. Poznała je; tak chrząkał tylko ten czło-

wiek, który ją kiedyś zbitą, skopaną, leżącą w rowie w mroźny, zimny dzień ujął za skórę na chudym karku i, wymawiając niskim głosem jakieś dwa dźwięki, zaniósł do ciepłej chaty, dał strawy i przy ciepłym piecu, w kącie, na garści słomy kazał jej leżeć i milczeć. Zrazu chciała go w bezsilnej rozpaczy ugryźć w rękę, wiszącą nad jej karkiem, ale silne, ordynarne ruchy człowieka zdławiły jej odruch lękiem i zmusiły ją do uległości.



P. Włodzimierz Rosenwerth z dwoma odyńcami (167 i 152 kg.), ubitemi w maj. Roskosz, pow. siedleckiego.

Pamiętała swoją psią pamięcią bardzo dobrze, jak leżąc wówczas w kącie, wodziła żebraczem okiem za człowiekiem, który krzątał się po izbie, nie zwracając na nią żadnej uwagi, a który przecież — nie wiadomo poco — przygarnął ją, bezdomną, wędrowna psinę...

Wprawdzie ów człowiek sam ją potem nieraz kopał, kijem okładał i smagał batem... Ale — nie pamiętała mu tego, bo jeść dawał i wodził ją ciągle w zieloną czeluść puszczy, do której rwała ją za macierzyste, serdeczne struny, tęgo rozciągnięte w jej piersi, jakaś siła — dzika, pierwotnie dzika...

Suczka bardzo dobrze to wszystko pamiętała. Teraz, słuchając, czekała, jak odniesie się do niej — pan. I chociaż nie odważyła się nigdy nawet warknąć na niego, czuła, że zacznie go gryźć, jeśli zrobi co złego jej małym. Czekała niedługo.

Cień padł do wnętrza budy. Zaszarzała w otworze ręka i rozległy się jakieś dźwięki, w których było słychać te, jakiemi ją zwykle pan wzywał do siebie.

Lipa wytężyła oczy i śledziła niemi rękę, która wolno wsuwała się pod jej ciało, dotykała szczeniąt, obmacywała je — ciekawie, niegroźnie.

Zaufała człowiekowi.

Ale kiedy cofniętą już rękę kłusownik po raz wtóry ukazał w otworze budy, suka wydała z szerokiej piersi głęboki, głuchy warkot...

Zdało się jej, że teraz już nie na próżno sięga w stronę jej dziatwy coś obłudnego mruczący człowiek, że ma jakiś wrogi dla niej zamiar, że dziatwie grozi niebezpieczeństwo... Psia matka jakimś „psim węchem", jakimś „wiatrem górnym" wyłowiła to odczucie z atmosfery sytuacji.

— Nia bresz! — uciszył ją chłop i pchał hardo rękę dalej.

Suka warknęła raz: krótko, groźnie, mlaskając pianą śliny. Ostrzegła.

Kłusownik w czas wyrwał rękę, klnąc siarczyście sukę i szczenięta.

— Dam ja tobie rady, nie boj sia... — mruknął wreszcie do suki i skierował się w stronę stodoły.

Suka leżała cicho, głaskając od czasu do czasu językiem tłuste karczki maleństw. Cieszyła się, że nic złego nie stało się jej dziatwie. — Nie wiedziała biedaczka, że chytry człowiek nie da za wygraną: że któregoś dnia zamknie ją podstępnie w trakcie posilania się w „sieniach" chałupy, a sam pośpieszy do budy, wybierze dwoje najtęższych i najzdrowszych na oko szczeniąt i zostawi je na miejscu, a resztę brutalnie ciśnie do cuchnącego dołu z rzadką gnojówką...

Psia matka nie wiedziała nic o ludzkich zamiarach. Dlatego spokojnie, z jednakową troską dbała o każde szczenię: każde karmiła jednem mlekiem, każde ogrzewała jedną piersią i każde pieściła pieszczotą jednego serca...

*

Januk nazywał młodego psa „Dzikunem", dlatego, że pies miał instynkty drapieżne, nieokiełznane, dzikie. Dowodem tego były skargi sąsiadek kłusownika z tytułu udławionych kur... Psiak był już taki od maleństwa. Januk sam nieraz widział, jak głodny szczeniak rozdzierał suczce „cycki" zaledwie wykłuwającemi się ząbkami. A potem, kiedy zgrubiał i wygładził się, słowem — „wyszedł" na dorosłego psa, na porządku dziennym były: kury, koty, awantury z wioskowemi i włóczącemi się psami... A taki był „psiakrew" sprytny, że wróble chwytał na śmietniku, jak „dobry" kot.

Od pierwszych dni nie ograniczał przezorny Januk jego swobody. Przeciwnie — sam go często wyganiał z obejścia, nie dawał jeść i zmuszał do samodzielnego szukania żeru. Często wyprowadzał psa do „dwornych" lasów, żeby oswoić młodzika z ich wyglądem, z dziką gęstwiną i z tajnikami, jakie były wyraźnie wypisane na pokrywie mchu i trawy.

Dzikun nie był w szczenięctwie w ciemię bity (a tylko kilkadziesiąt razy w udo kopnięty) — dlatego umiał ocenić chęci swojego pana. Zresztą wykonywanie nakazów pana (jak to wielokrotnie psim rozumem stwierdził) szło wyraźnie po linji jego osobistych zamiłowań.

Polubił las. I jego cichość, rozłożoną w pogodne dni pod baldachimem liści, i mnóstwo barw, i zapachy: utajone przy ziemi, ślizgające się w ślad za biegiem wiewiórek po czerwonych pniach sosen i, zdawało się, zawieszone jeszcze w powietrzu, pozostawione przez szybki lot ptaków. Polubił czarną strugę puszczańską, szepleniącą w leszczynowym zagaju za to, że — kiedy raz zmęczony gonitwą za zwierzem z sił opadał — spragnionego napoiła, w zimną otchłań przyjęła i orzeźwiła.



Z polowań Lubelskiego Tow. Myśliwskiego: w Krzczonowie.

Z czasem nogi jego zaprawiły się w ciągłej gonitwie, nabrzmiały mięśniami — stały się elastyczne i rozciągliwe, jak guma. Lśniąca sierść dodawała mu zewnętrznego poloru, który do pewnego stopnia odzwierciadlał jego zdrowie fizyczne i dobre wewnętrzne samopoczucie.

Dzikun rozkwitł podobnie, jak dojrzewa dębczak na żyznym gruncie. Kilka suk — jakie były w Żusinach — zaczęło oglądać się za nim zalotnie, szukać okazji zapoznania się i nawiązania stosunków...

Ale dumny ze swojej młodości i kłusowniczej wprawy pies lekce sobie ważył wszelkie miłostki. Odkładał je na później. Wiedział bowiem ze słów i postępowania swego pana, że co się odwlecze, to nie uciecze... Teraz nie chciał tem sobie zawracać głowy.

Jedyną namiętnością jego, poza gonitwą za zwierzem — była nieposkromiona żądza korespondowania z osobnikami swojego gatunku. Jako stacje nadawcze i odbiorcze służyły: każdy słup, każde drzewo, każdy kamień przydrożny — do wyboru i do koloru!

Z „korespondencji" takiej miało się niesłychanie wiele pożytku i przyjemności. Można było się dowiedzieć, jaką drogą, o jakiej porze i jaki „bliźni" przechodził; czy to był kawaler, czy żonaty; panna, czy mężatka, czy wdowa; „mieszczanin", czy „wieśniak", „osobnik" dorosły, czy młody; wesoły, czy smutny; zdrowy, czy chory; głupi, czy inteligentny...

W czytaniu tych „listów" Dzikun z czasem stał się bardzo biegły, a to dzięki doświadczeniu, zdobytemu na podstawie głębokich i solidnych studjów nad pisownią t. zw. zawiłą.

Dzikun był ze swoim panem w bardzo dobrej komitywie. Nic to, że otrzymywał dość często kopniaki albo uderzenia. Będąc psem, umiał znosić wiele rzeczy wrogich. — Świadomość, że nauka pana jest bardzo pomocna w łowach, oraz że pan jest silny, bo nie omieszkuje tej siły pokazać na jego grzbiecie — wyrobiły w psie głęboki respekt dla podsiwiałego już kłusownika Januka.

Dzięki posłuszeństwu i własnej zaprawie, pies znał po dwóch latach większość przesmyków w rozległych dworskich lasach; wiedział, gdzie są ostoje zwierza w lipcową spiekotę, a gdzie w smutny dzień zimowej zawieruchy; gdzie zwierzyna zwykła wychodzić na żer o świcie, a gdzie o zmroku...

Doświadczył też na sobie, dostawszy kiedyś śrutami po ogonie, w jakich miejscach zalega zwykle na czatach leśnik, którego bać się nauczyli go: pan — Januk i wróg — śrut.

Najważniejszą umiejętnością w kłusowniczym procederze Dzikuna był gon milczkiem. Łatwej tej na pozór sztuki nauczył się z wielkim trudem i niechętnie. Nieraz dostawał za „tępotę" w tym względzie porządne lanie; a pan był srogi — jak bił, to bił... Nie skutkowało bowiem nic samo słowne nauczanie.



Na łąkach i błotach Wiadołupickiej Puszczy.
Fot. J. hr. Dunin Karwicki.

Próżno Januk czaił się na przesmyku i czekał na goniącego głosem psa, by — poświęcając możność ubicia ściganej zwierzyny osiągnięciu rezultatów w kłusowniczej tresurze psa — wypaść nagle z ukrycia i spłoszyć go okrzykiem, by milczał... I rzeczywiście — pies, jak zaklęty, gon urywał i ścigał dalej milczkiem. Po takich też „występach" (a raczej — wyskokach) Januka Dzikun dwa, trzy dni „polował" bez szczeku.

Ale potem znów — rozpierany gamą dzikich, pulsujących w tęgiej piersi, krwawych instynktów — wybuchał nagle wściekłym jazgotem, który, wciąż się modulując, przechodził wreszcie w skandowany, rytmiczny szczek, pomocny w uciążliwej pracy gonienia.

Próżne były wysiłki Januka.



Grupa myśliwych na polowaniu w lasach dóbr Nacpolsk-Strzembowo. Od lewej pp.: Inż. T. Robakowski, W. Maciejewski, dyr. P. Kowalczyk, Z. Charzyński (gospodarz), E. Wojewódzki, Inż. St. Robakowski i D. ks. Radziwiłł.

Dopiero gdy leśnik odstrzelił Dzikunowi, głośno goniącemu, koniec ogona i kiedy kłusownik (idąc dalej w swojej upartej, przemyślnej, niewybrednej praktyce), głodząc psa przez długie dni, wypuszczał go potem w ciemne noce do lasu i zmuszał głodnego do intensywniejszej pracy — pies przełamał się i odtąd gonił milczkiem, jak złowieszczy, dyszący tylko, czart...

*

Mateusz — leśnik z majątku Świrany, do którego należały rozległe lasy — był człowiekiem sprytnym i wyszkolonym w sprawach dotyczących łowiectwa. Szkół żadnych wprawdzie nie ukończył, tyle tylko, że umiał czytać i pisać, a wiedzę łowiecką przygarnął ot tak, poprostu, na słuch...

Często bowiem wzywał go do siebie sam właściciel majątku i wiele rzeczy rozpowiadał. Rozumny leśnik umiał wynaleźć wartości zastosowania tej teorji albo w płaszczyźnie swego doświadczenia w dotychczasowej praktyce, albo — próbować teraz jej sensu, szczególnie w punktach, których dotąd nie znał, albo nie stosował.

Między innemi — Mateusz znalazł teraz w wywodach swego chlebodawcy mocne potwierdzenie szkodliwości dla łowiska wiejskich, bezpańskich kundli, a szczególnie psów kłusujących.

O Januku z Żusin wiedział tyle, że jest to typ bardzo „niewyraźny"... Różne bowiem słuchy chodziły o nim po okolicznych wioskach. Mówiono, że dziki myśliwiec co noc wraca do chaty, obarczony zwierzem, a stary żyd-kupiec twierdził z pobłażliwym uśmiechem, że „durnowaty" Januk tylko rubli-złotniaków szuka nocami po pańskim lesie...

Mateusz dotychczas nigdy nie złapał Januka na gorącym uczynku kłusownictwa. W każdym razie miał na oku chytrego, szpakowatego wieśniaka.

Wiele do myślenia dawał Mateuszowi piękny, tęgi pies, którego Januk nazywał Dzikunem. A kiedy spotkał go kiedyś w lesie, goniącego głośno zwierzynę — znalazł potwierdzenie swoich przypuszczeń — więc wygarnął doń grubym śrutem... „Djabeł" poszedł zdrów.

Odtąd zawziął się na kłusującego psa dworski leśnik. Czyhał nań często przy wykrotach o zmierzchu przy przesmykach puszczańskich...

Aż nadeszło lato.

Leśnik, wracając pewnego wieczora z obchodu, brnął przez mszyska wysokie, przez splątane gąszcze, by prędzej wydobyć się na wąską ścieżkę, wiodącą zygzakiem do odległego domu.

Słońce już zapadło w łożysko lasów, a czerń jęła barwić kolorowy świat w ciemne tony. Zmierzch spływał. W ciszy dusznego wieczora ułowiło bystre ucho Mateusza trzask łamanych w pędzie suchych gałązek. Zaseplenił w ciężkiej pracy zziajany oddech...

Mateusz zrozumiał o co szło.

Zerwawszy z ramienia strzelbę, rzucił się w gąszcze, na wzgórze — cicho, jak duch. Przywarował, jak ryś, za pniem — czekał...

Chwila płynęła za chwilą.

Księżyc wysadził tłusty pysk z za dąbrowy i rozjaśnił nieco dookolne mroki. Psa nie było — widocznie zwierz pociągnął półkolem precz, dalej.

Nagle pełen dzikości jazgot rozdarł ciszę — namiętność, wściekłość moc zadrżały w nim, zachichotały, jak kupa djabłów.

Pies nie strzymał. Buchnął wrzawą pogoni. Szedł za instynktem, za pierwotnym rozkazem, który mu krew we wrzątek przemieniał, pianę toczył na czarne wargi i grzechotał warkotem w rozedrganem gardle...

Oczywiście — nie wiedział o tem, że, będąc na usługach człowieka, który nie uznawał norm łowieckich i jego wrodzoną dzikość potęgował w tej samej płaszczyźnie, nie mógł odwiedzać lasów, nie miał prawa ścigać zwierza i w rezultacie — dla dobra kulturalnego łowiectwa — nie powinien był istnieć.

Niosła go pasja pierwotnej dzikości, a nieświadomość niebezpieczeństwa dodawała mu odwagi i tężyzny.

Gonił uroczym, tęgim gonem wspaniałego ogara... Jakby to był jego ostatni gon: najpiękniejszy i — najdzikszy...

Kiedy nadleciał z mroków za rudym cieniem płochliwej łani akurat na stanowisko leśnika — wola kultury łowieckiej rzuciła dzikość w cień, w mech.

Mateusz, swoim zwyczajem uciąwszy psu ogon, stwierdził przy blasku księżyca, że był to zdarty na końcu „chwost" Dzikuna...

*

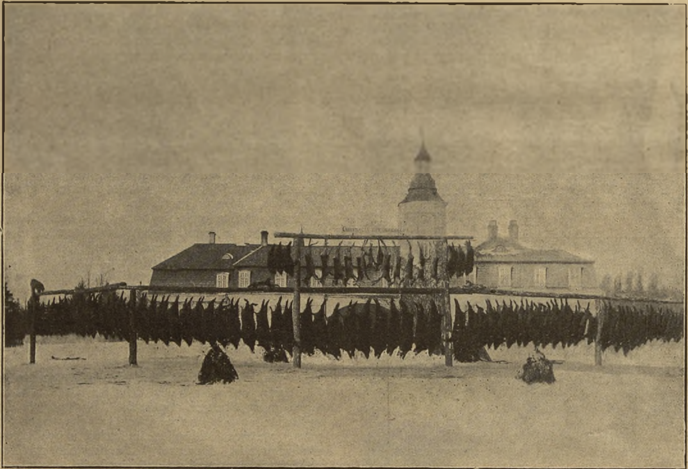
Z gęstwiny drzew wypełzła cichaczem szara postać i po krótkich poszukiwaniach schyliła się nad leżącym w mroku psem. Rubaszna pieszczota słów zaszemrała, jak pęk liści na krzewie.

— E.... sukin syn, dooobry był...

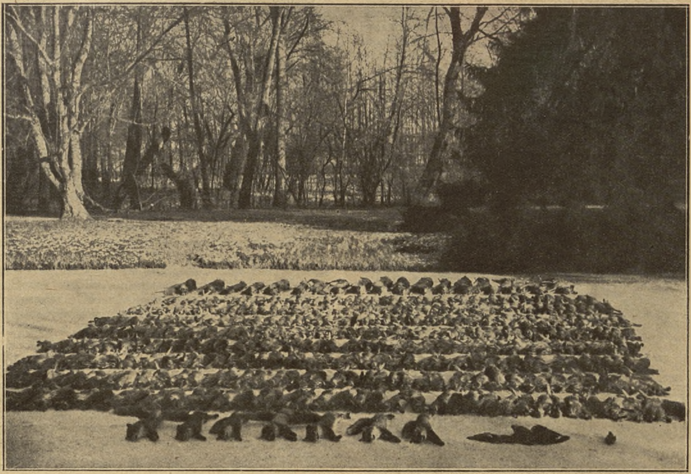
Silna ręka ujęła psa za grubą skórę na grzbiecie, uniosła z ziemi. Znajomość lasów doprowadziła szarą postać nad dół, zagubiony w gęstwinie, mchem i pleśnią porosły. Ta sama ręka, która dźwignęła psa z ziemi, pchnęła go teraz w dziki głuchy wądół — pod straż pochylonych ciekawie kalin...

A gdy nazajutrz przyszedł Mateusz z łopatką, nie mógł znaleźć psiego kadłuba. Pokiwał głową, splunął i zawrócił ku leśniczówce.

TYTUS KARPOWICZ



Pokot zwierzyny, ubitej na polowaniu w dn. 26, 27, 28, 29 i 30 stycznia 1937 roku w Ordynacji Dawidgródeckiej Karola ks. Radziwiłła. Fot. Br. Ajzenberg, Stolin.



Pokot zwierzyny z polowania w lasach dóbr Nacpolsk - Strzembowo p. Z. Charzyńskiego (pow. Płońsk): 7 lisów, 25 kozłów i 595 zajęcy.

PARĘ SŁÓW O ROGACZACH W POZNAŃSKIEM.

Pasjami lubię polować na rogacze, zresztą to samo powtarzam i w odniesieniu do innej zwierzyny — zależnie od sezonu. Ale teraz mówmy tylko o rogaczach.

Poznańskie cieszy się może najobfitszym zwierzostanem sarnim w Polsce, ale zawsze słychać narzekania myśliwych nie nad ilością zwierzyny, ale nad jakością trofeów. Przyznać też należy, że, o ile ilościowo w tutejszem województwie stan sarn nietylko nie zmniejsza się, ale nawet raczej się zwiększa, to zato, gdy chodzi o trofea, t. j. parostki kozłów (czyli, jak tu lud mówi, sorów lub siorów) trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że te raczej degenerują się.

Dotąd poszukiwano źródeł tej degeneracji, względnie zastoju w rozwoju, w różnych kierunkach. Wskazywano na liche warunki odżywiania w tutejszych lasach, odznaczających się bardzo często brakiem podszycia, a położonych przeważnie na lichej bardzo glebie. Dalej zarzucano, że, dzięki długoletniej zupełnej ochronie sarn, stosunek wzajemny płci daleko odbiegł od idealnego 1 : 1, albo choćby 1 : 2. Krytykowano sposoby odstrzału — odbijanie w pogoni za trofeami silnych sztuk, pozostawianie zaś marnych. Tym podobnych zarzutów podnoszono wiele i każdy mniej lub więcej miał w sobie racji.

Celem zaradzenia temu, chwycono się specjalnych zarządzeń w stosunku do naszego województwa. Niestety, wszystkie te zarządzenia szły tylko w kierunku ułatwienia tej przez Niemców przecenianej może: „Hege mit der Büchse". Zamknięto na dwa lata zupełnie odstrzał kozłów, dozwalając tylko odbijanie sztuk selekcyjnych za osobnemi zezwoleniami. Następnie — otwierając wprawdzie polowanie na rogacze — ograniczono je przez zakaz polowania w czasie rui. Zerwano z systemem całorocznej ochrony kóz i wprowadzono przerwy w ochronie, dozwalając na polowania na nie przez parę miesięcy. W lasach państwowych nawet z urzędu przystąpiono do intensywnego odstrzału kóz, starając się o wybitne zredukowanie płci „słabszej", aby skoncentrować w ten sposób siły płci „silniejszej", które dotąd rozpraszały się zanadto.

W ubiegłym roku, zdając sobie słusznie z tego sprawę, że takiemi zakazami nie można na długą metę operować, że z jednej strony wstrzymywanie odstrzału ma także swoje skutki ujemne, a z drugiej strony, pozbawiając myśliwego przyjemności i nagrody za trud, zniechęca się go do hodowli — otworzono polowanie i w czasie rui.

Na czasie byłoby więc teraz zapytać się, czy przytoczone tu zarządzenia wydały skutki i jakie, i czy były to zarządzenia celowe i wystarczające?

Spostrzeżenia moje w tym kierunku opieram na przeglądzie bardzo wielu trofeów różnych myśliwych, oglądanych na wystawach, pokazach, lub też w pracowniach tutejszych preparatorów, w prywatnych zbiorach, a wkońcu i na własnych skromnych bardzo wynikach łowieckich.

Odpowiadając na postawione pytania, muszę skonstatować, że pewne, chociaż może nikłe, skutki okazały się stanowczo. Niepaka poprawa w parostkach jest, ale raczej w tym kierunku, że można spotkać więcej niż poprzednio dobrych, a nawet czasami, jak na nasze stosunki, kapitalnych, ale nie można absolutnie twierdzić, aby ogół rogaczy się poprawił. Tymczasem, mojem zdaniem, dla celów hodowlanych większą znacz-

nie wartość miałoby podniesienie się choćby trochę ogólnego poziomu, aniżeli sporadyczne wyskoki ponad ogólny marny poziom. Takie bowiem wyjątkowe okazy są albo wynikiem hodowli poszczególnego ambitnego gospodarza łowiska, albo uchowały się dzięki paroletniej ochronie i przypadkowi, ale wpływu na hodowlę nie wywrą takiego, aby zaznaczył się w całokształcie. Dla takiego wyniku szkoda byłoby tych zabiegów, może atoli dopiero przyszłe lata pokażą nam ich owoce.



Zmiana stanowisk. Fot. Inż. E. Woynicki.

Co się tyczy kwestji celowości wyżej opisanych zarządzeń, to rzeczywiście umożliwienie odstrzału nadmiernej ilości kóz przy ograniczeniu odstrzału rogaczy miałoby swoje dobre strony, gdyby nie pewne „ale". Otóż odstrzał kóz był dozwolony w nieodpowiednim czasie, skutkiem czego padało wiele zapłodnionych kóz, a bez kwestji tu i tam padał ofiarą i kozioł, w tym czasie bez parostków. Błędem może było też zniesienie czasu ochrony na kozy, zamiast indywidualnego a liberalnego udzielania zezwoleń na ich odstrzał. Wobec zupełnej wolności odstrzału, skutkiem uchylenia ochrony w wielu łowiskach i to specjalnie polnych, ubijano każdą kozę, która przyszła pod lufę i to, jak fama głosi, często zapomocą naganki, no i śrutu. Tego byłoby się uniknęło, gdyby każdy, mający nadmiar kóz, musiał się starać o pozwolenie na ściśle cyfrowo określony odstrzał i tem samem mógłby być lepiej kontrolowany.

Wstrzymanie odstrzału rogaczy przez wprowadzenie dwuletniej ochrony zupełnej, a zezwalanie na wyjątkowy odstrzał selekcyjny, z równoczesnym zakazem sprzedaży mięsa, miało często ten skutek, że przechowały się kiepskie rzeczywiście selekcyjne rogacze, gdyż strzelanie ich nie tentowało właściciela łowiska w kierunku trofeów, a pozbycie się mięsa w wielu wypadkach, szczególnie przy większym odstrzale, sprawiało mu kłopot. Przyczyniało się do tego i to, że odstrzału dokonywano naturalnie przed rują, aby unieszkodliwić zawczasu indywidua, zawadzające w hodowli, a tymczasem w czasie rui dopiero pokazywały się kozły stare, zdegenerowane, których przed rują nie widziano. Rogacze te nie dopuszczały młodzieży zdrowej do kóz, zaś same, opanowując mniej lub więcej rewir, szkodziły tylko hodowli, a usunąć ich nie można było z powodu wyczerpania odstrzału.

Przy normalnym odstrzale, ale cyfrowo przez miarodajne organy określonym, można było łatwiej dokonać selekcji. Zresztą sama pomoc odstrzałowa w hodowli nie zdziała niczego, jeśli nie będzie innych poczynań czy to w kierunku podniesienia hodowli przez ułatwienie zwierzynie odżywiania się, czy też do uporządkowania polowania i uniemożliwienia przytem nadużyć.

Licząc się z tem, że u nas las nie daje dość odpowiedniej karmy zwierzynie, a na paszę na polach przyleśnych, nie zawsze można liczyć ze względu na niepokojenie zwierzyny pracą na polach i przez strzelaczy podleśnych — bo tych myśliwymi nazwać nie z małemi wyjątkami prawie nie widać, umożliwić wszyscy gospodarze łowisk własnych, czy też dzierżawionych, zasiewali w swych rewirach leśnych każdy wolny kawałek ziemi, a w zimie dokarmiali sarny. Dalej trzeba przez urządzanie lizawek, których u nas z małemi wyjątkami prawie nie widać, umożliwić zwierzynie zaspokojenie jej głodu soli i wapna, obu bardzo dla jej zdrowia i rozwoju potrzebnych. Lizawki są tem więcej potrzebne, że pomagają zwierzynie do zwalczania szkód, wyrządzanych jej przez larwy gza. Tych szkód nie można lekceważyć, jak to wielu sądzi, o ile bowiem naprzykład moje obserwacje sięgają, to coraz częściej u ubitych sztuk można znaleźć te larwy i przekonałem się, że prawie zawsze, gdy parostki stały w wielkiej dysproporcji do wieku rogacza, lub wykazywały przedwczesną degenerację, to znajdowano u danej sztuki mniejszą lub większą ilość larw gza.

W tym kierunku powinny nietylko czasopisma łowieckie rozwinąć jeszcze intensywniejszą agitację, ale specjalnie piękne pole do działania mają tu organizacje łowieckie, które mogą wiele dobrego zrobić przez odpowiednie statutowe postanowienia, czy też przez wykłady i t. p., a wkońcu przez premiowanie członków, którzy najwięcej w swych rewirach będą pracować w tym kierunku.

Dalszym, bardzo skutecznym środkiem do rozwoju hodowli i do strzelania jej wyników byłoby tworzenie kół hodowlanych (Hegeringe), podobnie jak to przewiduje obecnie niemiecka ustawa łowiecka. Tworzenie takich kół ma dużą wartość, szczególnie w naszych warunkach, a w pierwszym rzędzie dla lasów państwowych, gdyż u nas lasy prywatne często, a lasy państwowe prawie z reguły, nie mają pól, przylegających do lasów, któreby, należąc do tego samego właściciela, gwarantowały mu bezpieczeństwo zwierzyny, wychodzącej z jego lasu. Na wydzierżawienie zaś tych przyległych polnych łowisk albo niema funduszów, albo dążenia w tym kierunku uniemożliwiają włościanie, decydujący w spółkach łowieckich, którzy wolą sami polować pod lasami na wychodzące z nich sarny, lub też jelenie.

Dla stworzenia takiego koła z odpowiednio opracowanym i, ma się rozumieć, przestrzeganym statutem warto ponieść ofiarę, choćby nawet w formie udzielenia w lesie pewnego odstrzału. W ramach takiego koła, obejmującego zawsze większy kompleks lasów i pól, na którym odstrzał będzie regulowany odpowiednio do potrzeb hodowlanych, można i warto jest coś przedsiębrać dla hodowli, a trud i wkłady się opłacą. Sądzę, że początek będzie trudny, bo my Polacy lubimy bardzo dwie maksymy: „wolność Tomku w swoim domku" i „każdy sobie rzepkę skrobie", i nadużywamy ich tem więcej, gdy chodzi o hołdowanie swej pasji. Ale jeśli ten i ów spostrzeże wyniki, to mam nadzieję, że uzna wartość takich kół.

Wielką zasługę miałby zarząd lasów państwowych, gdyby zechciał w tym kierunku podjąć inicjatywę, a oprócz tego i jemu samemu wyszłoby to na dobre. Jako muzykę przyszłości, oby tylko nie odległej, wyobrażam sobie ustawowy przymus tworzenia kół hodowlanych.

Od przyszłej ustawy łowieckiej należałoby oczekiwać, że wprowadzi ustalanie odstrzałów zwierzyny, a specjalnie racicowej, przez odpowiednie organy łowieckie i, jako kontrolę, przymusowe, przypuśćmy powiatowe, wystawy trofeów, zdobytych w ciągu danego roku. Narazie dużą wartość dydaktyczną i łowiecko-wychowawczą miałyby wystawy przymusowe dla członków organizacji łowieckich, lub przez Dyrekcje lasów państwowych nałożony kontraktowo na dzierżawców i kupujących odstrzały obowiązek prezentowania na dorocznym pokazie trofeów, w tych lasach zdobytych.

Dalszym postulatem *de lege ferenda* jest bezwzględny zakaz czatowania pod cudzym lasem na zwierzynę, przynajmniej w odległości 150 m. od brzegu lasu, aby pozbyć się tych pasorzytów, którzy, że się tak wyrażę, na swojem łowisku ani sieją ani orzą, ale zato chętnie korzystają z owoców cudzej hodowli.

Koniecznością, przynajmniej w naszych warunkach, jest też ustawowe wprowadzenie strzału kulowego do zwierzyny racicowej, bo tu nie pomogą żadne zakazy polowania od zachodu do wschodu słońca, jeśli się nie uniemożliwi strzału w nocy, choćby księżycowej, gdyż zawsze się znajdzie wymówkę, chroniącą od odpowiedzialności w razie usłyszenia strzału—czy będzie nią czas rykowiskowy, czas zlotu, przelotu, ciągu, czy strzału do rzekomego lisa lub dzika. Tymczasem zwierzyna racicowa, śrutem choćby tylko dobita, będzie mogła sprowadzić karę na winnego, a także nie będzie dopuszczona do handlu, gdyż karany byłby i ten, co ubił, i ten, co nabył. Wówczas znikną właśnie ci specjaliści od dołów pod lasem, nocy księżycowych i śrutowych sikawek, co wyniszczają zwierzostan, bo im przeważnie obojętne jest do czego strzelają, byle zdobyć mięso.

Wkońcu pozwalam sobie zwrócić się z pewnym apelem do Zarządu lasów państwowych i do władz komunalnych, względnie nadzorczych tych komun.

Sprzedawanie odstrzału zwierzyny racicowej ma wiele niedogodności ze względów hodowlanych, lepsze absolutnie jest wydzierżawianie łowisk. Lecz tu myśliwy, chcący rzeczywiście hodować, a w dzisiejszych czasach notorycznie nie bardzo wyposażony w gotówkę, trafia na pewne przeszkody. Przeszkody te mogłyby wyżej wymienione władze łatwo usunąć.

Szacunki polowań, które stanowią podstawę do pertraktacji o czynsz dzierżawny, są przeważnie za wysoko ujęte, a to dlatego, że etaty odstrzałów, stanowiących podstawę tych szacunków, są, jak to sam nieraz miałem sposobność skonstatować, bardzo optymistycznie co do ilości i jakości zwierzyny obliczone, co stwarza, że odbiegają od rzeczywistych możliwości, a przy ustalaniu corocznego odstrzału nie pozwala się nawet, i to zupełnie słusznie, odbić tyle zwierzyny, ile wykazują wyżej omawiane etaty.

Z powodu takich ustaleń nie można robić zarzutów administracji leśnej niższej i wyższej. Chcą jak najlepiej, ale teoretyczne obliczenia, do których przeważnie jeszcze brak czasu, podmalowane przytem widokiem ogryzionych czasami kultur, lub spałowanych drzewek, a wkońcu i właściwą ludziom chęcią pochwalenia się swoim rewirem, daje często cyfry, o jakich mówiłem. Ale to podnosi niepomiernie czynsz dzierżawny i nietylko uniemożliwia obecnie dzierżawienie myśliwemu, który chce hodować, a więc musi się jeszcze liczyć z wydatkami na ten cel i co najważniejsze kieszeniowo — z odszkodowaniami. Może podziałałoby dobrze na ten stan, który zapewne i w tem się odbije, że ci, którzy za lepszych czasów powydzierżawiali rewiry, powoli przestaną nadal dzierżawić, gdyby Zarząd lasów państwowych zechciał wysłuchać od czasu do czasu ściśle tylko informacyjnie dzierżawców swoich łowisk i nabywających często odstrzały, których informacje zresztą można zawsze sprawdzić.

Wielkim ciężarem obecnie, od chwili wprowadzenia ustroju gmin zbiorowych w tut. województwie jest dla dzierżawców łowisk, i to specjalnie w lasach państwowych, z których dotąd podatku od prawa polowania się nie uiszczało, nałożenie tego podatku na rzecz gmin i to prawie bez wyjątku w najwyższej dopuszczalnej stawce, t. j. 20 gr. od/ha.

Ministerstwo, regulując w swoim czasie tę sprawę, wyznaczyło w strefie I-szej, jako maksymalną normę, właśnie 20 gr. od 1 ha. To znaczy, że nie była to tylko jedna jedyna zastosowalna stawka podatkowa, lecz że wymiar podatku należało stosować do wartości łowiska, ale nie mógł on nigdy przekraczać tej maksymalnej wysokości. Tymczasem obecnie zarządy gmin, w pogoni za źródłami dochodu, stosują tę maksymalną stawkę jako jedyną, do tego stopnia nawet, że taką samą miarę stosują przy polowaniach na jeziorach, licząc po 20 gr. od 1 ha. powierzchni, chociaż każdemu wiadomo, że polowania na jeziorach są bardzo skromne pod względem upolowanej zwierzyny i że łowiecko jest bardzo mało terenu na jeziorze, bo tylko zarośla mają wartość.

Tego rodzaju stosowanie wymiarów podatkowych może mieć tylko ten skutek, że coraz mniej będzie kandydatów na dzierżawę, a inni, którzy już dzierżawią, pozrzucają się z kontraktów, bo w chwili zawierania kontraktu nie liczyli się z tym wydatkiem, dochodzącym dużych sum. Tu odpowiednie pouczenie przez kompetentne władze mogłoby odrazu wpłynąć na uzdrowienie tej anomalji. *)

S. M.

*) Wszystkie powyższe wnioski Szanownego Autora są postawione przez Związek bądź w formie projektu noweli do ustawy łowieckiej, bądź w formie projektów zarządzeń odnośnych władz, lecz dotychczas zrealizowanie ich idzie ospale. Co się tyczy sprawy osadzania przez poznańskie rogacze słabych parostków, to na tę sprawę, jak się okazuje, wyłącznie zależną od jakości karmy, rzuca zupełnie nowe światło praca Karl Vogt'a „Die neue Wege der Hege" *(Przyp. red.)*

SUKCESY MYŚLIWSKIE GEN. GOERINGA W POLSCE.

Jak wiadomo, w lutym odbywały się w Puszczy Białowieskiej trzy turnusy polowań reprezentacyjnych dla zaproszonych przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, Prof. Ignacego Mościckiego, gości zagranicznych, przedstawicieli korpusu dyplomatycznego oraz polskich dostojników państwowych.

W pierwszym turnusie uczestniczył Premjer Rzeszy Niemieckiej, Gen. Hermann Goering.

Knieja polska okazała się dlań nader szczodrą. Gen. Goering ubił na jednem stanowisku 3 wilki i 2 grube dziki. Następnie udał się na zaproszenie Gen. Kazimierza Fabrycego i Maurycego Hr. Potockiego na tereny: Towarzystwa Goszczewo-Byteń, Polskiego Towarzystwa Myśliwskiego, Franciszka Hr. Pusłowskiego i Lasów Państwowych, (nadl. Iwacewicze i in., dzierżawione przez Gen. Fabrycego)—gdzie polował trzy dni w otoczeniu swej świty i gospodarzy. I tu zdobył rzadkie trofea, ubijając dubletem dawno przez siebie upragnione 2 rysie.

Redakcja „Łowca Polskiego" wyraża najgłębszą radość z tego zasłużonego uśmiechu polskiej Diany dla Wielkiego Łowczego Rzeszy Niemieckiej, a równocześnie przedstawiciela władzy, która wykazuje tyle istotnego zrozumienia dla spraw łowieckich.

Z TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO ZIEM WSCHODNICH.

(Z DZIAŁALNOŚCI SEKCJI OCHRONY PARDWY).

Stopniowe zanikanie pardw stanowi jedną z głównych trosk Tow. Łow. Z. Wsch. W tym celu jeszcze przed dwoma laty powołało ono do życia specjalną Sekcję ochrony pardwy, która to Sekcja przeprowadziła szereg badań nad stanem pardw w Wileńszczyźnie. Sekcja doszła do przekonania, że stan pardw u nas bezwzględnie się zmniejsza, i wysunęła — jako jeden ze środków zaradczych — walkę z jastrzębiami - gołębiarzami na terenach, gdzie przebywają pardwy. Ponieważ walka z gołębiarzami przy pomocy strzelby jest rzeczą trudną i przypadkową, przeto Sekcja wysunęła konieczność spopularyzowania i rozpowszechnienia wśród towarzystw myśliwskich i właścicieli łowisk pardwich — specjalnych żelaz dla łapania gołębiarzy.

Żelaza takie (np. kosze z żywemi gołębiami) są do nabycia w większszych składach broni i mogą być stamtąd wypisane, ponadto zaś p. pułk. S. Oleszkiewicz (Wilno, Piwna 9 m. 5-a) propaguje pewien tani, prosty i skuteczny rodzaj żelaz na jastrzębie. Wiemy również, że p. Podłowczy Powiatowy Jan Borowski (p. Chocieńczyce pow. wilejskiego, maj. Łukawiec) od dłuższego czasu prowadzi z dobrym skutkiem walkę z gołębiarzami w swem łowisku przy pomocy żelaz.

Zważywszy, że pardwy stanowią osobliwość łowiecką Wileńszczyzny, niespotykaną w innych województwach, że punktem honoru myśliwych wileńskich powinno być ratowanie pardw od zagłady, że myśliwi nie powinni w tem dziele dać się ubiedz innym czynnikom (np. organom ochrony przyrody) — Zarząd Tow. Łow. Z. Wsch. zwraca się do WP. z gorącą prośbą o zajęcie się sprawą tępienia gołębiarzy przy pomocy żelaz.

W szczególności należałoby:

1) ustawić żelaza w łowisku W. P., gdzie są pardwy;

2) nakłaniać sąsiadów, posiadających tereny pardwie, do ustawienia tych żelaz;

3) w towarzystwach łowieckich, dzierżawiących tereny pardwie, powodować uchwały, któreby nakładały na łowczych towarzystw obowiązek walki z gołębiarzami przy pomocy żelaz;

4) instruować strażników łowieckich i gajowych w kierunku walki z gołębiarzami oraz — należytego obchodzenia się z żelazami i ich pilnowania.

ROZPORZĄDZENIE P. MINISTRA SPRAW WEWNĘTRZNYCH.

(DZ. U. M. S. W. Nr. 4 Z DN. 20 LUTEGO 1937 R.).

Poz. 64. Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 18 stycznia 1937 r., wydane w porozumieniu z Ministrami: Rolnictwa i Reform Rolnych oraz Spraw Wojskowych o nabywaniu, posiadaniu i noszeniu broni przez niektórych funkcjonariuszów Lasów Państwowych.

Na podstawie art. 21 ust. 3 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 29 października 1932 r. — Prawo o broni, amunicji i materiałach wybuchowych (Dz. U. R. P. Nr. 94, poz. 807), w brzmieniu art. 10 pkt 2 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 28 grudnia 1934 r. o unormowaniu właściwości władz i trybu postępowania w niektórych działach administracji państwowej (Dz. U. R. P. Nr. 110, poz. 976) zarządza się co następuje:

§ 1. 1. Funkcjonarjusze Lasów Państwowych, zajmujący stanowiska nadleśniczych, adiunktów leśnych, praktykantów techniczno-leśnych, leśniczych, podleśniczych, praktykantów leśnych, gajowych, dozorców i strażników, mogą bez zezwolenia, o którym mowa w art. 18 ust. 1 prawa o broni, amunicji i materiałach wybuchowych z dnia 27 października 1932 r. (Dz. U. R. P. Nr. 94, poz. 807):

a) posiadać i nosić przydzieloną im przez ich władzę przełożoną broń palną — krótką lub długą typu wojskowego;

b) nabywać, posiadać i nosić broń myśliwską.

2. Noszenie broni palnej długiej typu wojskowego dozwolone jest jedynie w związku z pełnioną służbą.

§ 2. 1. Posiadanie i noszenie broni wymienionej w § 1, jak również nabywanie broni określonej w ust. 1 pkt a) § 1 uzależnione jest od posiadania imiennego zaświadczenia właściwej dyrekcji lasów państwowych, upoważniającego do nabycia lub posiadania i noszenia określonej w nim broni (zał. 1).

2. Dyrekcje Lasów Państwowych wydają zaświadczenia, wymienione w ust. 1, po uzgodnieniu z powiatowymi władzami administracji ogólnej właściwymi ze względu na miejsce zamieszkania osoby, której zaświadczenie ma być wydane.

§ 3. Zaświadczenie (§ 2) ważne jest tylko przy równoczesnym posiadaniu legitymacji służbowej.

§ 4. Podczas noszenia broni poza obrębem swego mieszkania funkcjonariusz upoważniony obowiązany jest zaświadczenie (§ 2) posiadać przy sobie i okazywać je wraz z legitymacją służbową na każde żądanie władz bezpieczeństwa oraz organów policji państwowej, żandarmerji i ochrony granic.

§ 5. Do nabywania broni myśliwskiej przez osoby, wymienione w § 1, stosuje się odpowiednio przepisy, regulujące nabywanie broni należącej do przepisowego uzbrojenia osób, wymienionych w art. 21 ust. 1 pkt b) prawa o broni, amunicji i materiałach wybuchowych.

§ 6. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie w 14 dni po ogłoszeniu.

Załącznik do § 2 rozp. Min. Spraw Wewn. z dnia 18 stycznia 1937 r. (poz. 64).

WZÓR ZAŚWIADCZENIA

Dyrekcja Lasów Państwowych

w . . . .

Nr. . . . . .

. . . . . dnia . . . . . r.

Zaświadczenie.

Na podstawie § 1 rozporządzenia Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 18 stycznia 1937 r. o nabywaniu, posiadaniu i noszeniu broni i przez niektórych funkcjonariuszów Lasów Państwowych

P. . . . .

(imię i nazwisko)

. . . .

(stanowisko służbowe)

zam. w . . . .

upoważniony jest do posiadania i noszenia (do nabycia) . .

. . . .

(określenie broni)

Zaświadczenie niniejsze ważne jest przy równoczesnym posiadaniu legitymacji służbowej.

(pieczęć) DYREKTOR LASÓW PAŃSTWOWYCH

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO.

POSIEDZENIE ZARZĄDU ZWIĄZKU.

Dnia 14 marca r. b., w niedzielę o godz. 11-ej odbędzie się w lokalu przy ulicy Nowy Świat 35 posiedzenie Zarządu Polskiego Związku Łowieckiego.



W roku 1936 nakładem firmy Paul Parey w Berlinie ukazało się czwarte, nowo opracowane wydanie podręcznika racjonalnego zwalczania drapieżników Hermana Eisenhardt'a, p. t.: „Polowania i chwytanie drapieżników". 44 ryciny w tekście. Cena broszury Rm. 3.50.

Jedną z zasad prawidłowego myślistwa według nowej niemieckiej ustawy łowieckiej jest zwracanie dostatecznej uwagi i na drapieżniki. Wszelkie narzędzia, sprawiające schwytanemu zwierzęciu tortury, jak np. łapki do łowienia drapieżników, ostre pale i inne żelaza, zostały z użycia wycofane, a łapanie i odstrzał drapieżników poddano określonym przepisom. Gruntownym zmianom uległo np. zwalczanie lisów. Wyczekiwanie na przesmykach w mgliste poranki listopadowe, polowania z psami gończemi, pędzenia i t. p. stały się znowu rzeczywistością; krótko mówiąc, praktyczny i doświadczony myśliwy będzie mógł znowu pokazać, że na podstawie swoich wiadomości i rutyny potrafi okpić zarówno lisa, jak i innych „spryciarzy" drapieżnych.

Dla pogłębienia tych wiadomości i zapoznania się z najnowszemi sposobami polowań na drapieżniki wydanie to ma pierwszorzędne znaczenie, jest bowiem najlepszem streszczeniem sposobu życia tych zwierząt i zdobywania przez nich pokarmu, z uwzględnieniem wszelkich charakterystycznych dla drapieżników nawyków. Zawiera praktyczne wskazówki utrzymywania drapieżników w rewirze, wykorzystania ich dla produkcji dobrych futer zimowych i t. d.

Nowe wydanie tej książki opracowane zostało przez Hermana Eisenhardt'a zgodnie z duchem nowej ustawy łowieckiej Niemiec i zawiera następującą treść: Pierwszy rozdział, p .t.: „Z życia naszych drapieżników", poprzedzony krótką przedmową autora, dzieli się na kilka mniejszych artykułów. A) Drapieżniki ssące: lis, wilk, borsuk, dziki kot, kuna leśna i domowa, tchórz i łasica. B) Ptaki drapieżne: wykaz ptaków drapieżnych, podlegających ochronie, myszołowy, kanie, jastrzębie, krogulce, orły. C) Istotne drapieżniki: 1. Szkodniki naszych rewirów łownych: kruki, wrony, sójki, sroki. 2. Zdziczałe zwierzęta domowe: koty, psy.

Rozdział drugi. „Sposoby łapania i polowania": Żelaza do chwytania t. zw. „Schwanenhals", lub żelaza berlińskie, żelaza niemieckie, sieci do łowienia ptactwa, pułapki, narzędzia do chwytania psów i pułapki duszące, pułapki na łasice, kuny, dostosowane do ustawiania na drzewie, kosze na jastrzębie, przynęty, włóczenie, oswajanie i wabienie, oraz sprzęt do polowania na drapieżniki.

Rozdział trzeci. „Łapanie i polowanie": łapanie lisów w żelaza, rewizja terenu, polowanie na lisy, pędzenie, kocioł i polowanie ze schronu, polowanie na wilki, borsuki, kuny, tchórze i łasice. Polowanie na ptaki drapieżne, polowanie z puhaczem, polowanie na jastrzębie z zastosowniem kosza, powszechne zwalczanie wron, odstrzał na gnieździe i na miejscu noclegowem, pielęgnacja i obchodzenie się z puhaczem i konserwowanie skór.

Najwyższym nakazem nowego prawa łowieckiego Niemiec jest racjonalne polowanie. Dlatego też w zakończeniu tej książki zwraca się autor do wszystkich myśliwych, polujących w pojedynkę czy gromadnie, w polu czy w lesie, aby nigdy nie lekceważyli tej zasady i zawsze o niej pamiętali. Takim drapieżnikom, jak lis, borsuk, kuna i t. p., gdzie one wielkiej szkody w rewirze nie czynią z myśliwskiego punktu widzenia, należy pozostawić pewną część wolnego rewiru dla ich rozmnoży.

Bezwzględną natomiast walkę radzi Eisenhardt wypowiedzieć wronom, srokom, dzikim kotom, łasicom i innym szkodnikom drobnej zwierzyny łownej. Ciągłe tępienie tych szkodników, latem i zimą, bez przerwy, gwarantuje spokojną i pomyślną hodowlę zwierzyny drobnej i usuwa niebezpieczeństwo zrujnowania całego stanu w rewirze przez ukrytych wrogów. Pamiętać jednak trzeba, że każdy drapieżnik, zarówno lis, jak borsuk, czy inny szkodnik, ma swoje znaczenie w rewirze łownym. Zwalczajmy więc je oględnie, bez narażania ich w razie możności na męki i cierpienia.

Zainteresować się tą pracą powinni przedewszystkiem myśliwi-hodowcy, posiadający własne hodowle zwierzyny łownej. Poza tem zaś ma ona duże znaczenie dla pogłębienia wiedzy i doświadczenia w tym kierunku każdego myśliwego.

STEFAN M. MACKIEWICZ

ROZMAITOŚCI

LOSIE I NIEDŹWIEDZIE Z SOWIETÓW.

Jak donosi jeden z Podłowczych Powiatowych P. Z. Ł., w ostatnich dniach stycznia b. r. do lasu dóbr Lipowo — uroczyska Niedźwiedziówka — pow. Dziśna przyszły dwa łosie.

Jest możliwość, że łosie te zatrzymają się w tej ostoi, lub może powędrują dalej do jednego z zamieszkałych już przedtem przez łosie kompleksów leśno - błotnych, należy bowiem przypuszczać, że łosie te przywędrowały z poza granicy sowieckiej, gdzie, jak wiadomo, w ostatnich miesiącach, od jesieni, zwierz dziki silnie jest niepokojony wskutek prowadzonych tam na długiej nadgranicznej przestrzeni robót fortyfikacyjnych.

Z tej samej przyczyny zimy bieżącej na Polesiu pojawiło się kilka niedźwiedzi, które gawrowały na terenach polskich, co może wróżyć ich stałe tu osiedlenie, o ile znajdą konieczne warunki spokoju w obranych przez siebie ostojach.

KULTURALNY CZYN LUDNOŚCI WIEJSKIEJ.

W przeciwieństwie do nieustannie występujących objawów wandalizmu wśród ludności wsi naszych w ustosunkowaniu się do przygodnych spotkań ze zwierzyną (niezależnie od uprawianego zawodowo kłusownictwa), zwłaszcza gdy mowa o przypadkach znalezienia się tej zwierzyny w wyjątkowych okolicznościach osłabienia, wycieńczenia, lub wobec trudności ucieczki po gołoledzi, lodzie, zabrnięcia w trzęsawisku i t. p. — mamy do zanotowania godny naśladownictwa przykład humanitarnego czynu wyrostków wiejskich ze wsi, położonej w pobliżu jeziora Dominickiego w Wielkopolsce.

Nieznani z nazwiska chłopcy — działo się to w styczniu b. r. — spostrzegli na lodzie jeziora dwie sarny, które nie mogły się po nim swobodnie poruszać. Udało się tym chłopcom jedną sztukę przytrzymać, związać jej nogi i odnieść do leśniczówki „Papiernia", w celu wypuszczenia jej tam na wolność.

Przy sposobności podania tej sympatycznej historji do wiadomości czytelników, zwracamy się do Pana Łowczego P. Z. Ł. na pow. Leszno z prośbą o zbadanie szczegółów przebiegu tej sprawy i o ustalenie nazwisk tych młodych przyjaciół zwierząt, w celu zakomunikowania im publicznej pochwały, którą na tem miejscu wyrażamy.

WŁ. Z.

KŁUSOWNICTWO.

(—zet—) W końcu stycznia b. r. Sąd Okręgowy w Wilnie rozpatrywał sprawę, wytoczoną przeciwko gajowym z dóbr hr. Tyszkiewicza w pow. wileńsko-trockim: Łukaszowi Połujań-

skiemu i Ludwikowi Malewczowi, oskarżonym o zabicie kłusownika Jana Dobrzewicza.

Na rozprawie sądowej, pomimo zeznań zorganizowanej kliki świadków przeciwko gajowym, ustalono, zgodnie z wynikami pierwiastkowego śledztwa, że rzecz miała się inaczej, a mianowicie, że gajowi zostali napadnięci przez kłusowników braci Dobrzewiczów i, strzelając w obronie własnej, jednego z nich postrzelili.

Gajowy Połujański został wyrokiem sądu całkowicie uniewinniony, zaś Malewicza skazano na 1 r., z zawieszeniem na 3 lata, za przekroczenie obrony koniecznej.

*

(—zet—) Starostwo olkuskie rozpatrywało w końcu stycznia sprawę niejakiego Edwarda Nawary, mieszkańca Gorenic, który jest p r e z e s e m k ó ł k a m y ś l i w s k i e g o.

Nawara, jak stwierdzono, trudnił się zawodowo kłusownictwem, polując na cudzych, nie stanowiących obwodu łowieckiego terenach, i czynił spustoszenia wśród zwierzostanu.

Skazano go na 100 zł. grzywny z z a m i a n ą n a 5 d n i a r e s z t u.

W ten sposób kłusownictwa nie wytępimy. Nawarę, jako zarejestrowanego myśliwego, posiadacza karty łowieckiej, a w dodatku przewodniczącego kółka myśliwskiego, należało ukarać jak najsurowiej, a przedewszystkiem odebraniem karty łowieckiej w związku z ujawnieniem zakonspirowanych pod szyldem legalności czynów, wykraczających przeciwko prawu łowieckiemu i etyce łowieckiej.

*

(—zet—) W maj. Łagiewniki, pow. krotoszyńskiego polowy Aleksander Białożerski i ogrodnik Franciszek Chlebowski natknęli się pewnej nocy na kłusującego w parku Stanisława Robakiewicza ze wsi Górka.

Ponieważ Robakiewicz zaczął ostrzeliwać się, polowy i ogrodnik użyli broni w obronie własnej. Rezultatem strzelaniny była śmierć kłusownika. Przy zabitym znaleziono worek napełniony bażantami.

*

(—zet—) Jak wielkie szkody w zwierzostanie może uczynić w ciągu jednego roku każdy zawodowy kłusownik, wskazuje fakt niżej podany.

W lasach Donnersmarcka w pow. tarnogórskim przyłapano polujących tam notorycznie Jana Suchowskiego z Czarnej Huty i Augustyna Suchowskiego z Suchej Góry. Dochodzenia wykazały, że bracia w ciągu 3 miesięcy (lipca, sierpnia i września) 1936 r. upolowali i unieśli zwierzynę, przedstawiającą wartość rynkową (bitej zwierzyny) 1.300 zł.

*

(—zet—) W maj. Cmachowo, pow. szamotulskiego polowi Walenty Herbski i Józef Hoffman, podczas obchodzenia pól, natknęli się na kłusujących dwóch nieznanych osobników, którzy na widok polowych rzucili się do ucieczki.

Gdy polowi rozpoczęli pogoń, kłusownicy zatrzymali się i wystrzelili kilka razy w kierunku goniących, raniąc obu, na szczęście nie niebezpiecznie.

Posterunek policji we Wronkach zajął się energicznie śledztwem.

*

(—zet—) Kłusownicy, Stanisław i Władysław Witczakowie oraz Zygmunt i Kazimierz Kubiszewscy udali się na pola majątku Marszew, pow. jarocińskiego, na polowanie.

W ciemności Kazimierz Kubiszewski zauważył, że za krzakiem coś się porusza. Myśląc, że to zwierzyna — strzelił. W tej chwili rozległ się jęk. Okazało się, że za krzakiem umieścił się i czatował na zwierzynę Stanisław Witczak. Rana była śmiertelna. Postrzelony kłusownik wkrótce zmarł.

*

(—zet—) W nadleśnictwie Dwukoły, pow. działdowskiego praktykant leśny Antoni Wiczliński napotkał podczas obchodu rewiru trzech kłusowników, którzy, korzystając z liczebnej przewagi, a mając widocznie porachunki z Wiczlińskim na tle uprawianego przez siebie zawodowo kłusownictwa, rzucili się na niego i dotkliwie pobili go kijami, poczem połamali strzelbę praktykanta i zbiegli.

Wezwany do W. lekarz stwierdził ciężkie urazy cielesne. Sprawców napadu, braci Jana, Józefa i Czesława Cieślaków, którzy przyznali się do winy, przytrzymano i odstawiono do dyspozycji władz sądowych w Działdowie.

*

(—zet—) Ciekawy fakt, służący jako dowód rozpanoszonego wnykarstwa w okolicach Mikołajowa (Małopolska) zdarzył się na jednem z polowań, w lasach kościelnych w Werbiżu. Mianowicie znaleziono tam aż 87 sztuk wnyków drucianych, zastawionych na zające. Jednocześnie natrafiono na dwa żywe jeszcze, schwytanie na wnyki zające, a także już uduszone dwie kozy i jednego rogacza.

Miejscowe władze administracyjne powinny natychmiast — w porozumieniu z przedstawicielami łowiectwa w powiecie — zorganizować zdecydowaną akcję przeciwko wnykarzom, mogącym całkowicie wytrzebić okoliczny zwierzostan.

NA POMOC ZIMOWĄ.

Z polowania odbytego w dniach 26, 27, 28, 29 i 30 stycznia 1937 roku w Ordynacji Dawidgródeckiej ofiarował Książę Ordynat Karol Radziwiłł, zamiast części ubitej zwierzyny, 500 — złotych na Komitet Pomocy Zimowej w Stolinie.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W dniach 26, 27, 28, 29 i 30 stycznia 1937 roku odbyło się polowanie w lasach Ordynacji Dawidgródeckiej Karola Ks. Radziwiłła.

W czterech ostępach i jednem pędzeniu ubito 86 dzików (w tem 13 odyńców), 2 rysie, 2 lisy i 10 kozłów.

W polowaniu brali udział pp.: Stanisław Hr. Zamoyski, Paweł Hr. Potocki, Juljusz Triebe, Karol Ender, Zygmunt Hr. Wielopolski, Stefan Dąbrowski, Jan Ciechanowski, Maciej Ks. Radziwiłł, Adolf Steinhagen, Feliks Steinhagen, Janusz Zdziechowski, Roman Rogowski, Jan Hr. Szeptycki i Książę Ordynat — gospodarz.

— W dniach 18, 19, 20 stycznia b. r. odbyło się polowanie w lasach dóbr Nacpolsk - Strzembowo p. Zbigniewa Charzyńskiego.

W ośm strzelb ubito 595 zajęcy, 25 kozłów i 7 lisów. Udział w polowaniu brali pp. Dominik ks. Radziwiłł, Karol ks. Radziwiłł, Witold Maciejewski, Eugenjusz Wojewódzki, Stanisław Robakowski, Tadeusz Robakowski, dyr. P. Kowalczyk i gospodarz. Największy pokot osiągnęli bracia Robakowscy, mając na rozkładzie 75 i 70 sztuk.

— Dnia 26 stycznia b. r. odbyło się polowanie w dobrach Nacpolsk - Strzembowo p. Zbigniewa Charzyńskiego. W 14 strzelb ubito 245 zajęcy, 11 kozłów, 2 lisy. Największy pokot osiągnął p. Stefan Mieczkowski z Dzierżanowa mając na rozkładzie 30 zajęcy i 2 kozły i p. starosta Morawski — 25 zajęcy i 5 kozłów.

— Dnia 15 i 16 lutego b. r. odbyło się polowanie w lasach dóbr Nacpolsk na lisy. Ubito 12 sztuk. Największy pokot osiągnął pułkownik Stanisław Mniewski.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Łowiecki.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu — 50 gr Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa



PRZY ZNANEM MUZEUM PRZYRODNICZEM

STEFANA GREULICHA

Warszawa, Nowy Świat 61

z dniem 1-go stycznia 1937 r. zostało otwarte pod doświadczonem kierownictwem właściciela

PRACOWNIA WYPYCHANIA PTAKÓW, ZWIERZĄT I PREPAROWANIA SZKIELETÓW

Ceny konkurencyjne



POLECAMY

NAJPEWNIEJSZE W UŻYCIU BELGIJSKIE AUTOMATYCZNE

pist. BROWNINGA oryg. F. N.

kal. 6.35, 7.65 i 9 mm.

JENERALNI PRZEDSTAWICIELE NA POLSKĘ

WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA

w Warszawie, ul. Królewska 17

Oddziały: POZNAŃ, Pierackiego 12 – LWÓW, Pl. Marjacki 4

WILNO, Wileńska 10 – KATOWICE, Mlyńska 2



Egz. od 1881 r.

Skład i Fabryka Broni

J. SOSNOWSKI w Warszawie

sp. z o. o.

Krak. Przedm. 7, tel. 647-47

Poleca strzelby:

G. Delourny-Sevrin à Liege
A. Forgeron „
A. Francotte „
Lepage „

Sztucery, Trójlufki

G. Delourny-Sevrin à Liege
J. Nowotny Praha

Duży wybór strzelb obosyjnych i kominowych

Warsztaty reperacyjne.

Ceny i warunki przystępne — Katalogi ilustrowane bezpłatnie.

JAKÓB MAREK

MAGAZYN OBUWIA

Warszawa, Bielańska 22

TELEFON 12-16-06

Rok założenia 1888

POLECA

BUTY MYŚLIWSKIE

w cenie od 90 zł.



Dwa razy daje, kto szybko daje...
Muszą o tym pamiętać ci wszyscy, którzy zadeklarowali ofiary dla bezrobotnych.

KONTO P. K. O. 70.200
„POMOC ZIMOWA"



Bażanty żywe, koguty i kury ma do sprzedania Zarząd Dóbr Woroniec poczta Biała Podlaska.

Bażatarnie Łochowskie mają do sprzedania 300 kur i 70 kogutów bażantów mongolskich, pochodzących z jaj sprowadzonych z Anglji. Cena 10 zł. sztuka z opakowaniem. Stacja Łochów.

Bażantarnia Zarodowa „Borowie" sprzedaje bażanty **czystej krwi** Mongoły. Wiosną sprzedaż jaj woljerowych. Warszawa, Żórawia 28 m. 6.

Bulwy-Helianty do zakładania remiz, nieoceniona pasza dla sarn w porze zimowej. Cena wraz z opakowaniem zł. 6.— 50 kg. Zamówienia: Majętność Lechlin, poczta Skoki, Poznańskie.

Do odstąpienia zdatne do odświeżenia krwi dwie wołyńskie sarenki, dobrze wyrośnięte, dobrze utrzymane w wieku od 7 do 8 miesięcy za 100 zł. wraz z klatką i dostawą na dworzec kolejowy w Uściługu. Adres: poczta Korytnica n/Bugiem, gm. Wójt, Targoński Stanisław

Książki myśliwskie, kalendarze i pisma łowieckie, jak Jeździec i Myśliwy, Łowiec, Łowiec Polski, Łowiec Wielkopolski, Gazeta Leśna i Myśliwska, Sylwan i inne druki i druczki myśliwskie nabywa Józef Wł. Kobylański, kapitan rez., Warszawa 1, ul. Górnośląska 16, m. 38.

Strzelec, lat 22, z 2 letnią praktyką leśno-łowiecką, w lasach Krośniewickich, poszukuje posady strzelca lub bażantarnika od 1 kwietnia b. r. Stefan Dopierała, Leśnictwo Perna, poczta Krośniewice.

Szczenięta-wyżły, krótkowłose, niemieckie, po „Bekasie" z Dąbrowic i „Hince" z Łukowa, rodzice zapisani w Pomorskiej Księdze Rodowodowej, premjowane, po zł. 50.—, Dr. Jan Łukowicz, Chojnice, Pomorze.

Treser psów myśliwskich z praktyką natychmiast **potrzebny**. Zgłoszenia z życiorysem nadsyłać do Zarządu Seter Klubu, Warszawa, Nowy Swiat. 35.

Wyżeł-pointer 15-to miesięczny rasowy b. ładny do odstąpienia. Tel. 8.10-83, w godz. 15—16.